Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1882. Rok V.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

NA BŁOTACH BEŁZKICH

PRZEZ

Alexandra Ucysza.

(Ciąg dalszy).

W miejscu gdzie stał budynek, gniły słupy i podwaliny, jednem słowem wyborne miejsce dla wydr, jakoż były one tam, bo je widywano. Do tej naszej wyprawy przyłączył się z własnej woli, młynarz z sąsiednich Chań. Przybywszy na miejsce naprzód rozglądamy się starannie, tam, gdzie stał budynek, spostrzegłem dziury kilkułokciowej długości, które wydały mi się za szczupłe na pomieszczenie wydry, ale moi towarzysze uparli się i poczęli kopać. Mozolna to była praca, co chwila potrącali o jakąś zawadę, ale nie bezowocna, bo po dwu-godzinnem niemal kopaniu dotarli do końca tej nory. Już wreszcie ukazała się ściółka z traw i mchu, gdy naraz jednym susem wyskakuje zwierzątko niewielkie, barwy ciemno-płowej. Stary młynarz uderza w nie rydlem, rozmachuje się do powtórnego ciosu i trafia w głowę z tyłu stojącego Wasyla, na szczęście niezbyt mocno go kalecząc. Zwierzątko, które zrazu mieliśmy za tchórza, a było w istocie kuną wodną, zwaną „nórkiem“, od tego jednego ciosu strzepnąwszy kilkakrotnie łapkami zginęło. Musiałem pełnić funkcyę cyrulika, zmaczawszy w wodzie chustkę, obwiązałem nią głowę Wasyla, strasząc pobladłego z przerażenia młynarza, że Wasyl umrze w skutek tej ciężkiej rany. Młynarz lamentował, ręce łamał z rozpaczy, wreszcie użaliliśmy się nad nim i uspokoili. Zabity nórek był samicą, sięgnąwszy do odkrytego gniazda, wyciągnąłem troje sporych już nórcząt. Jedno z nich ugryzło mnie dosyć boleśnie w rękę. Wasyl chciał je pozabijać, ale się temu sprzeciwiłem. Były już prawie odessane, więc mogły się wychować, włożyłem je więc napowrót do gniazda mimo naocznego przekonania się z szczątków, wyścielających gniazdo, iż to ród prawdziwie drapieżny. Kuna wodna — wydra nórek, niesłusznie nurkiem nazwana, należy razem z kunami leśnemi i domowemi do klasy zwierząt łasicowatych, powierzchownością nie wiele się różniąc od reszty swego rodzaju, tylko nogi ma nieco niższe, a międzypalce połączone są z sobą skórkowemi płetwami, co ją najgłówniej wyróżnia i wskazuje przeznaczenie zamieszkiwania nad wodą, śród której pływa wybornie, ale się w niej nie zanurza, jak lud twierdzi. Ztąd nazwano ją nurkiem, a właściwiej mianowaćby ją należało: „nórkiem“, ponieważ kryje się w norze, a nigdy się niezanurza, co niejednokrotnie sam stwierdziłem. Zresztą najlepszym tego dowodem jest skład jej ucha, w niczem nie odmienny od ucha kun wszelkiego rodzaju i tchórza, ucho to otwarte, więc pewnie nie przeznaczone do przyjmowania wody. Jedynym pod tym względem wyjątkiem w klasie zwierząt łasicowatych są wydry, posiadające właściwość stulania czyli kurczowego ściągania

wnętrza ucha tak szczelnie, że woda do niego wcisnąć się nie może, której to właściwości kuna wodna wcale nie posiada. Więc nórkiem zwać się powinna, gdyż gniazdo swe urządza w norach przez siebie wygrzebanych w wyższych brzegach lub groblach stawów, jezior, a zawsze w pobliżu wód lub moczarów. Nory te często sięgają na kilka metrów w głąb ziemi, a na podściółkę znoszą, cokolwiek się nadarzy, trawę, mech, pierze, szerść. Miejsca bagniste są ulubionem ich siedliskiem, bo w lecie dostarczają im obficie żeru w jajach i płodzie większego wodnego i błotnego ptactwa, niemniej też żywią się gniazdami mniejszego ptactwa, jak: bekasów, dubeltów, kurek wodnych, kulików, łowiąc też i stare w nocy. Zimą żywią się przeważnie, a może nawet wyłącznie piskorzami, których mnóstwo po niezamarzłych „oknach", „kołbaniach", „oparach" znajdują. Łowią także ryby, przyczem nie zanurzają się w wodzie jak wydry, lecz stojąc na brzegu kocim sposobem chwytają nader zręcznie ostrymi pazurami. Kto pragnie wiedzieć, czy na rzece, stawach lub moczarach są kuny wodne, niech uważa, czy tam są piskorze, jeśli ich jest wiele, niezawodnie i kuna wodna tam się znajduje, bo ona nie lubi jak wydra wędrować milami za żerem, lecz potrzebuje miejscowego i stałego. Kolor włosa kuny wodnej bywa ciemniejszy jak innych kun, więcej podobny do piżmakowego lub tchórza, jak on „podpalona", ale nie w połowie, tylko na całym włosie. Skórki są droższe jak tchórza, ale tańsze jak kun, bo włos jest ostrzejszy z powodu ciągłego moczenia go w wodzie. Czapki „szabasówki" żydów w małych miasteczkach najczęściej są ze skórki tej kuny wodnej. Ruchliwe to zwierzątko, często płatają one figle chłopom-kłusownikom, łowiącym błotne ptactwo w zastawione sidła, o czem naocznie się przekonałem. Przypomni sobie łaskawie czytelnik, iż wspomniałem o nastawieniu przez nas sideł na ptactwo, jakoż ułowiło się kurek wodnych kilkanaście, a bekasów zaledwie kilka. Kurki zastaliśmy nienaruszone, ale z bekasów tylko główki z szyjkami zadzierżgniętemi w oczkach sidełek, reszta korpusu była pożarta, a pierze tylko pozostało. Szkodnicą była niezawodnie kuna wodna, o czem świadczyły tropy w błocie pozostawione.

Młynarz uszczęśliwiony, że Wasyl żyć będzie, a on nie dostanie się do „haresztu", gdy się pokazało, że nie ma wydr w pijawkarni, obowiązał się zawieźć nas swymi końmi pod Uhnów, gdzie w olszynie na pewne miały być wydry. Tymczasem, ponieważ upał był nieznośny, przyjąłem gościnę u młynarza, który wielce z tego powodu uradowany, raczył nas „czem chata bogata", z dodatkiem serdecznej „prynuki". Przespawszy skwarną porę w chłodnym młynie, którego szum wodnych kół i klapanie jednostajne tak zwanej „łapki", trzęsącej pytlem, jak wiadomo, mają znakomity dar usypiania, ruszyliśmy samotrzeć na wozie ku owemu na pewne zawydrzonemu miejscu. Tam o kilka staj od rzeki Sołokii był spory las olchowy, a tuż przy nim zwaliska murowanego młyna. Obszernym i dobrym miał być, jak twierdził młynarz, lecz zgorzał. Spadkobierca Rzeczycy, Uhnowa, Zastawia, Karowa i wielu innych włości, syn owego łowczego, o którym kilkakrotnie wspomniałem, głośny w swoim czasie hulaka, kobieciarz i utraciusz, nie kazał go odbudować, korzystniej bowiem lokował pieniądze, sute składając dary kapłankom Melpomeny świątyń Wiedeńskich i Lwowskich, za co też mianowano go hrabią, który tytuł nosił niesłusznie aż do końca swego żywota, który przypadł niedawno we Lwowie śród nędzy niemal. Cegłę tego młyna zabierał, kto chciał, więc ściany rozsypały się, kominy tylko, przebytki puhaczów, wysokie sterczały, łotoki także na pół rozebrano, pokrywał je tylko most, zawdzięczający całość swej użyteczności, bo był jedynym łącznikiem komunikacyjnym sławetnych mieszczan Uhnowa z ich łąkami, po drugiej stronie głębokiej i wysokobrzegiej młynówki położonych. Był to wierny obraz zniszczenia, niedbalstwa i zbrodni nieszanowania cudzej własności. Młodym byłem podówczas chłopcem, więc nader przykre zrobił na mnie wrażenie ów widok, z tego powodu mniej jakoś raźnie zabierałem się do szukania gniazd wydrzych, w duchu wyrzucając sobie marne tracenie czasu na badanie życia i obyczajów zwierząt, które może na nic się nie przyda. Lecz długoż trwają takie poważne refleksye w młodym umyśle, jak burza przeszły, jak burza znowu może się pojawią. Z zapałem godniejszym lepszej sprawy przystąpiłem do rozrzucania starych, dębowych dyli łotoka, albowiem od strony wody spostrzegliśmy wygrzebaną i wygładzoną częstem widocznie wsuwaniem norę, z kierunkiem ku brzegowi, a po bokach sterczało kilka szorstkich włosów „stroju" wydrzego jako ślad istotnej bytności wydry. Pracujemy tedy wytrwale, już widać początek nory wygrzebanej w brzegu. Młynarz niecierpliwy wsadza rękę, aby wysondować głębokość i kierunek nory, wnet woła: jest! i wyciąga za ogon starą wydrę, która w jednej chwili zwija się jak wąż, gryzie młynarza w nogę i pomyka w wodę nurkując w niej. Wszystko to tak prędko się stało, że nawet na cel nie można było wziąć zwierza, a tem mniej ugodzić je łopatą, bo strzelby nie mieliśmy. Po obwiązaniu rany młynarza począł Wasyl łopatą sięgać w głąb nory, a gdy mu się zdawało, że tam są jeszcze wydry, wzięliśmy się do kopania, a gdyśmy się dobrali do samego gniazda, wyciągnąłem z niego małą wydrę. Już naprzód układałem sobie, jak to ja na wzór pana Paska ją wychowam i różnych sztuczek wyuczę, a nazwę robakiem, gdy bliżej się jej przypatrzywszy widzimy, iż jest srodze łopatą zraniona, i już ledwo dysze. Jakoż w istocie w rękach naszych zdechła. Słońce chyliło się już ku zachodowi, ruszyliśmy więc do młyna. Uroczysko piaszczyste, którem jechaliśmy, było owem siedliskiem „obłędu" czyli diabła wodzącego po bezdrożach wracających z jarmarku ludzi, a szczególnie pijaków. Nie daleką przestrzeń przebyliśmy zaledwie w sporej godzinie, piekielna bo też to była droga, a raczej bezdroże śród ostrej i twardej trawy, zwanej przez lud „świńską szczęcią", pomieszanej z krzaczkami wonnej macierzanki. Gdzieniegdzie rosły karłowate sosny lub jałowiec, a cała przestrzeń poryta rowami, zbiornikami wody. Młynarz się odezwał: „Ot! to tu czort dokazuje, ja sam w tamtym krąglaku musiałem stać z wywróconym wozem i poplątanymi końmi. Co ja do koni, to coś mnie buch na ziemię, a „chrestu świątyj" byłem trzeźwiuteńki. Pan się śmieje! ho! ho! a we młynie, gdzie mieszkam więcej jak lat dwadzieścia, co wyrabiało ze żydem arendarzem. Bywało po północy idzie skąpy żyd do „młynicy" patrzyć czy koszowy nasypuje kosz, aż tu wali go coś kijem przez głowę albo przez plecy, że żydzisko krzyczał „gewalt" i spadał z „podu" jak kloc. Póty biło żyda, wysypywało mąkę, straszyło bachory, aż się odrzekł młyna". — „A jakże wam teraz w tym młynie?" zapytałem. — „Dałem na mszę, ksiądz poświęcił i mam spokój, a dawnego koszowego odprawiłem, bo kradł ludziom zboże a zwalał na szczury, a nawet mówili, że to jego „chowaniec", co go sobie koszowy przyniósł z Italii jako żołnierz, wyrabiał taką „pakość" ludziom.

Wróciłem wreszcie do domu, na którego progu spotkałem się z kazaniem, jakiego musiałem wysłuchać z ust gospodarza: „A już daj raz pokój tym waryacyom, cała okolica nazywa cię „szaławiłą z pod Lwowa", że łazisz Bóg wie za czem po błotach i t. d. Przyjęto mnie jednak gościnnie, nakarmiono suto

i musiałem opowiadać o moich myśliwskich przygodach. — Wreszcie Morfeusz objął nas w swoje ramiona. Nazajutrz przed świtem budzi mnie gospodarz oznajmieniem, że najpiękniejsza klacz jego wraz z źrebięciem, odłączywszy się od stada, uszła gdzieś w pole czy do lasu, i że mimo całonocnego poszukiwania nie znaleziono jej. Wezwał mnie do udzielenia rady i pomocy w tem utrapieniu. Ruszam więc z ludźmi do niezbyt oddalonego lasu, a pod nim była karczemka, w której rezydował żyd Mates Pocieszna była to figura, chudy, blady, z głową wygoloną, u której po bokach zwisały dwa olbrzymiej długości pejsy. Żydzi uważali go za bardzo „zbożnego“ i ztąd go szanowali. Nie wiem, czy i w jaki sposób współwyznawcy go rozumieli, gdy z nimi mówił, to wszakże pewne, że jam go wcale nie rozumiał, mówił bowiem jakąś dziwną mięszaniną słów hebrajskich, polskich, niemieckich, ruskich. Butów, nawet w zimie, nigdy nie używał, lecz jako prawdziwy „hassidim“ wdziewał pantofle i chałat jakiegoś osobliwego, wschodniego kroju. Miano go powszechnie za głupkowatego, żydzi przeciwnie mówili o nim: „wun duże mądry“. Niczem się nie trudnił, a mimo tego miał się dobrze, bo każdy żyd przechodzący czy przejeżdżający wstępował do karczmy i obdarzał go, choćby jednym krajcarem. Po sławnym rabinie bełzkim Mates był w największem u żydów poważaniu. Sam był brzydki, nawet obrzydliwy, ale żonę miał istotnie piękną i podobno pięcioro bachurów, podobniuteńkich do swego ojca. W jednym tylko względzie odstępował od zwyczajów „uczonych żydów“, iż gadatliwym był nad miarę. Dla mnie szczególną jakąś miał sympatyę, gdym się z nim kiedy zeszedł, to już odczepić się od niego było trudno. Pewnego razu spotkaliśmy się we wsi, więc według swego zwyczaju gadał bez końca, a miał organ podobny do gulgotania starego jendora. Znudził mnie setnie, aby się go pozbyć, ułożyłem w myśli figla. Lubo nie miałem zamiaru iść na błota, ku nim moje kroki skierowałem, żyd w pantoflach idzie za mną i z największym ferworem gada, zawiodłem go w czarne jak smoła, grząskie błoto, żyd pogubił pantofle, zbiera je i — gada, wreszcie użyłem ostatecznego środka, doszedłszy do kęp skaczę z jednej na drugą, zaciekły żyd gulgotając nieustannie skacze za mną. Mimo podrażnienia mego z tego powodu serdecznie śmiać się musiałem patrząc na skaczącego żyda. Poły pstrego szarafana i pejsy unosiły się przy każdym skoku w górę, wreszcie ugrzązł po pas w błocie, wrzeszczy przeraźliwie, chlipie, pobladł, jarmurka mu spadła i odsłoniła całą wygoloną głowę, oczy cebulowato wytrzeszczone, wyglądał jak istny topielec z baśni ludowej. — Uśmiawszy się wyciągnąłem go z tej topieli i wróciliśmy do domu. Kiedym się z chłopami zbliżył do karczmy w celu urządzenia obławy za zgubioną klaczą, Mates spostrzegłszy mnie, przyłączył się do nas. Tak doszliśmy do leśnej łąki, ze wszech stron różnodrzewym lasem okolonej. Zdala widzę na łące klacz stojącą, a przy niej leżące źrebię. Przystępujemy bliżej, źrebię stoi koło klaczy, więc cóż to leżącego — wilk nieżywy, zmasakrowany przez klacz, nader złośliwą z natury. Mates podbiega do klaczy w celu ujęcia jej, ona roznamiętniona do najwyższego stopnia walką z wilkiem rzuca się ku żydowi, chwyta zębami za szarafan, podnosi go w górę i wreszcie rzuca na ziemię. Przyskoczyłem do klaczy i ująłem ją silnie za gardło ściskając krtań, ona stanęła dęba pociągając za sobą i mnie, miotała się, chrapała, alem jej nie wypuścił, wreszcie nadbiegł stajenny, założył tręzlę i poprowadził. Sposób to kozacki chwytania koni, wyborny, ale wymagający odwagi i siły. Na szczęście żyd na ciele nie poniósł szwanku, szarafan był tylko potargany, jego zaś omdlałego z przerażenia odnieśli chłopi do karczmy. Wilk był ogromnie zmasakrowany, kości pogruchotane, widocznie wzięła go pod przednie nogi, zębami szarpiąc mu skórę i mięso Czas było wracać do domu, ale klacz w żaden sposób ruszyć z miejsca nie chciała, kazałem więc źrebię ująć, i prowadzić, co widząc matka chętnie za niem poszła. Przez długi czas uspokoić się nie mogła po tej zaciekłej z wilkiem walce, przedtem okrągła zchudła znacznie jedynie w skutek alteracyi. W owych czasach z powodu rozbrojenia w Rosyi i Galicyi mnóstwo było wilków, które ogromną szczególnie w źrebiętach czyniły szkodę. Klacz, o której mowa, miała być pochodzenia tatarskiego. Babkę jej czystej krwi kupił krewny mój w r. 1831 u ułana wracającego z wyprawy wojennej, na której tenże zdobył ją na jakimś lancą zakłutym baszkirze, ztąd zwała się ona „Baszkirką“, owa zaś wnuczka jej „Zawadzką“. Odziedziczyła po babce nie tylko maść ciemno-dereszowatą z czarną grzywą i takimże ogonem, dużą garbonosą głowę, i małe oczy, czem wszystkie prawie konie stepowe się odznaczają, ale także krew i temperament, jak to się na owej walce z wilkiem okazało. Mają te konie w stosunku do głowy zbyt małe chrapy, co im w pędzie utrudnia swobodne oddechanie. Błąd ten organiczny usuwanym bywa rozcięciem chrap w górze. Baszkirka była szalenie namiętną i złośliwą, nie inną też wnuczka jej Zawadzka.

Tegoż samego roku w jesieni urządziły Władze rządowe polowanie na wilki w tej okolicy. Wziąłem w niem udział. Spędzono ze wsi ogromną obławę, złożoną z kilkuset ludzi, sproszono okolicznych obywateli i oficerów pułku huzarów, stojących w Mostach. Kto nie miał strzelby, a nikt prawie jej wtedy nie posiadał, lub też nie chciał się do posiadania jej przyznać, temu dawano na czas polowania broń myśliwską, sprowadzaną z arsenału lwowskiego. Łowy rozpoczęto od wsi Bojańca i posuwano się coraz dalej. Ubito wtedy wilków do 40. Splondrowano lasy Bojanieckie, Mosteńskie, Butyńskie, Choronowskie, Chlewczańskie i inne, aż niemal ku granicy rosyjskiej. Dwa tygodnie trwały owe łowy „mit genauer Pünktlichkeit, gesetzmässig, mit Schonung des Gesindes“, a owego „Gesinde“ t. j. chłopów było przeszło 200, na papierze 1000, myśliwych zaś, oficerów, urzędników, landsdragonów więcej jak 50. Gdyby kierownictwo łowów nie było powierzone jakiemuś Oberforstmajstrowi czy nawet Waldratowi, sprowadzonemu ze Lwowa, to rezultat byłby się okazał o wiele świetniejszym. Wiele wilków źle pędzonych, uszło niestrzelanych, leśniczowie i obywatele okoliczni widząc nieumiejętność w prowadzeniu polowania opuszczali wyznaczone im stanowiska i szli za nagonką, oni też najwięcej ubili wilków. W mieście Bełzie zebrała się cała drużyna myśliwska na odpoczynek. Strudzoną była i zgłodniałą, a w całym mieście ani wygodnego umieszczenia ani posilnego pożywienia znaleść nie można było zwłaszcza, że to był dzień sobotni, ściśle obserwowany przez żydów wobec słynnego rabina, mianego za świętego i arcymądrego przez wyznawców talmudu nie tylko Bełza i okolicy, ale nawet całej Polski. Pielgrzymowali oni do niego z Rosyi, Węgier, Wołoszczyzny a nawet z Francyi po radę i pomoc czy to w dolegliwościach fizycznych, czy moralnych. Był on rozjemcą wszelkich sporów bez wszelkiej apelacyi, w istocie był to mąż świątobliwy i rozumny. — Zaledwie spoczęliśmy nieco po trudach myśliwskich, doniesiono, że w czasie polowania w lasach Choronowskich przebiło się całe stado wilków, złożone z 15 przeszło sztuk, i że widziano je w niewielkich Ostobuskich i Woronowskich lasach. Nalegaliśmy wszyscy na rychłe urządzenie tam polowania, czemu zrazu sprzeciwiał się pan Oberforstrath przez wzgląd na znużonych chłopów, a raczej nie

chcąc wystawiać na nowe trudy swej dostojnej i wcale zaokrąglonej osoby, gdyśmy jednak schlebiając jego próżności przyrzekli gremialnie złożyć w Gubernium podziękę panu Oberforstratowi za tyle trudów i takie poświęcenie, podjęte przez niego dla dobra całej okolicy i kraju, zdecydował się jaknajrychlej wyruszyć na nową wyprawę. Ja pojechałem zaraz do Ostobuża w celu zapowiedzenia przybycia całej kalwakady myśliwskiej i dla przygotowania się do ulubionego mego rodzaju polowania, zamyślałem bowiem podczas łowów stanąć z chartami na krajach lasu, i szczuć nimi wymykające wilki. Około godziny 12ej w południe ropoczęto polowanie, ja zebrałem wszystkie psy w liczbie około 12, między którymi były dwie smycze chartów. Trzymałem sam na smyczy rosłego Udusia i Ładną, o których byłem pewny, że chętnie pójdą z wilkiem w zapasy, drugą smycz trzymał niemłody już Hnat, gospodarz na roli, lecz myśliwy na charty, jakich mało. Dla polowania porzucał on najpilniejszą robotę w polu. Złają reszty psów dowodził psiarczyk „Chwed". Wreszcie rozpoczęły się łowy. Hałas, krzyk, uderzenia drągami o drzewa czyniły wrzawę piekielną, już pojedyńcze strzały padały, ja stoję, drzę na całem ciele, gdy słyszę w pobliżu strzał i okrzyk „pilnuj", — wtem z gąszczy leśnej wymyka dosyć spory basiur, wypuszczam charty wołając huż! huż! Hnat też swoją smycz puszcza i popiera koniem. Pierwszy przypadł Uduś, skubnąwszy wilka za nogę, odskoczył charcim obyczajem, i dalej ani rusz. Wilk obróciwszy się kłapnął paszczeką, a odważny Uduś, pogromca psów i lisów nawet w pojedynkę, najeżywszy sierść z stulonym ogonem pod zadnie nogi pomyka ku mnie, oglądając się poza siebie. Gdzież druga smycz chartów i cała złaja psów? Widzę, jak hurmą pędzą ku domowi. Z początku raźnie pomknęły za wilkiem, stary Rozbój, pies owczarski przewodniczył, lecz zwietrzywszy na dobre wilka, odwróciła się cała zgraja, i przerażona pędziła ku wsi mimo nawoływania Chwedia. Pozostał tylko Uduś i Migdał, obadwaj szli przy koniu, a raczej pod koniem, moją nieocenioną klaczą, która lubo pierwszy raz spotkała się z wilkiem, nie objawiła trwogi i chęci do odwrotu. Niestety pierwsza moja próba szczucia chartami wilka nie udała się. Tymczasem w lesie wrzał gwar, strzały padały dosyć gęsto, obadwaj z Hnatem kłusujemy ku starej maziarni, w pobliżu drogi do osady niemieckiej Bruckenthal. Był to zrąb sterczący mnóstwem pni sosnowych, patrzę, na drodze stoi koczobryk pana Oberforstrata zaprzężony w troje chłopskich koni, które chabecim obyczajem najspokojniej skubią trawę naddrożną. Chłop woźnica poszedł do karczemki, pan Oberforstrat i jego długonogi lokaj ćmią fajki, a tu naraz koczobryk poczyna pomykać ku nam, chabety z zadartymi w górę ogonami, z najeżonemi grzywami pędzą i nagle skręcają w zrąb. Pan Oberforstrat i jego famulus na koźle bladzi i wystraszeni siedzieli jak skamieniali. Pomknęliśmy ku nim z kopyta, ja śmieję się, Hnat zaś woła: „Bude bida z nimciom, koni kolasku perewernut", i w istocie w najszaleńszym pędzie koło koczobryka zawadza o pniak, a wehikuł z trzaskiem i łoskotem obala się na ziemię. Komedja stała sie tragiczną, dobiegamy, zeskakujemy z koni, Hnat skoczył do splątanych i rwących się koni, ja zaś dźwigam koczobryk pragnąc wydobyć z pod niego radcę i jego sługę, ale nader trudne zadanie, nie mogę podołać takiemu ciężarowi, a słyszę z pod koczobryka ciężkie i żałośne jęki. Byłem pewny, że rozbici na miazgę, wołam więc Hnata, jakoż wysileniom naszym powiodło się podnieść koczobryk. Przypadam do radcy — żyje, stęka, opatruję go, wszystko w porządku, więc uspokajam go, pomagam do powstania, chodzi, więc nogi całe i podobno nic mu się nie stało. Ale gdzież lokaj, szukamy, nie ma, aż po chwili wynurza się niemczysko z gęstych sośniaków z podrapaną twarzą, kulejąc nieco. Opowiedział, że podczas tego gwałtownego przewrotu wyrzucony został jak z procy i znalazł się w gęstej młodej sośnince, poczem stracił przytomność. Oberforstrat oprócz guza na czole nie doznał innego szwanku. Opowiadał mi, że konie „diese Bestien", spostrzegłszy wymykające w pole stado wilków, jak opętane ruszyły. Zabito na tem polowaniu 5 wilków, reszta w dość znacznej liczbie poszła w lasy Domaszowskie, Szałaskie i Karowskie. Stado złożone z siedmiu wilków uszło na błota, które zapewne tylko przekroczywszy, oparły się o lasy Ulwuwieckie i Wasylowskie, graniczące już z Kongresówką.

(Dokończenie nastąpi).

KILKA SŁÓW O OBECNYM STANIE MYŚLIWSTWA W GALICYI

PRZEZ

Karola Hostońskiego.

(Dokończenie).

Największą szkodę czynią kłusownicy na zasiadkach, w czem trudno zaradzić, bo ciemność ich chroni. W ogóle nieobliczone są szkody wyrządzane przez nich, nastawiają dołki lub stempice, łowią w sieci, tym sposobem wyginęły u nas prawie kuropatwy w polu, jarząbki i cietrzewie w lesie. Podnietą dla kłusownika w tem zbrodniczem rzemiośle są nasze miasta i miasteczka, gdzie warstwa ludności tak zwanej intelligencyi, a nawet urzędnicy, chętnie od niego kupują zwierzynę choćby w porze prawem zastrzeżonej. Wiadomo mi, że naczelnicy c. k. urzędów zamawiali u kłusowników zwierzynę w każdej porze. Nadto rzecz znana, że traktyernicy są tam z kłusownikami w nieustannem porozumieniu, istnieją też tajemne magazyny zwierzyny, zaopatrzone przez kłusownictwo, a handle wystawiają ją na sprzedaż nawet w porze niedozwolonej. Co więcej zdarza się też, że właściciele polowań wraz z kłusownikami polują lub dozwalają im buszować w kniei i po polach, i dzielą się z nimi zdobyczą. Bywają to zwykle gajowi i polowi. Do tego złego przyczynia się też znacznie:

Sprzedaż zwierzyny i amunicyi strzeleckiej przez nieuprawnionych. Niemiec mówi: „Wo kein Hehler, dort kein Stehler", gdzie nie ma przechowywacza, tam nie ma złodzieja. Jestto niezawodna prawda. Żyd po wielkich miastach, miasteczkach, wsiach, w karczmach, przy drogach i traktach publicznych głównie proteguje kłusownictwo, nabywając i przechowując zwierzynę nietylko od zwykłych kłusowników, ale czasem nawet od członków Towarzystw, dzier-

żawiących polowania gminne. Tam w każdej porze wykwintne stoły zaopatrują się w pożądaną zwierzynę. Publicznie i bezkarnie handluje żyd taką zwierzyną, i dla czegóż nie ma tego czynić, gdy mu nikt nie wzbrania, a często znajduje nawet do tego bezprawia w c. k. urzędach powiatowych otuchę, które od nich zwierzynę zakupują lub w darze otrzymują. Miałem nieraz sposobność stwierdzić to w okolicach Żółkwi, Mostów i Krystynopola, nie zaniedbałem wytknąć to nadużycie, ale niestety bezskutecznie. Przytoczę na dowód bezkarności przestępstw kłusowniczych kilka faktów. Wracając w Sierpniu z błotnego polowania wstąpiłem do karczmy. Żydówka zaproponowała mi sprzedaż zająca, jako w zbronionej porze zabitego chciałem skonfiskować, i wezwałem obecnego właśnie policyanta miasta Żółkwi, aby to uczynił. Wprost odmówił mi swej pomocy. Następnie udałem się w tej sprawie do Urzędu gminnego, ale również napróżno. — U pewnego żyda, mieszkającego na samym krańcu przedmieścia w Żółkwi, wszczął się dwa razy pożar. Przy gaszeniu tych pożarów byłem jako członek straży ochotniczej obecnym, raz wydobyto z komory dwie sarny (kozy) i siedm zajęcy, drugi raz jedną sarnę i cztery zające. Zwróciłem na to uwagę Urzędu gminnego, odpowiedziano mi, iż żyd jako handlarz opłaca podatek, a niepodobna mu dowieść, iż nieprawnie posiada zwierzynę. — Pociągnąłem do odpowiedzialności w Żółkwi żydówkę, sprzedającą 14 Lutego zająca samicę, lecz panowie burmistrz i starosta rozstrzygnęli sprawę na korzyść żydówki. Przekupnie żydowscy nie tylko handlują zwierzyną w miejscu, ale nadto wyprawiają znaczną ilość sarn, zajęcy, słonek, cietrzewi, jarząbków, kuropatw i t. p. do miast głównych, i używają w tym celu różnych przebiegów, aby się ochronić od odpowiedzialności. Takimi sposobami dostarczają zwierzyny tajnym magazynom lwowskim o każdej porze. Żyd będąc w nieustannem porozumieniu z kłusownikiem, dostarcza mu prochu i śrótu, wreszcie znajdzie je chłop w każdym niemal sklepiku żydowskim w miasteczku. Cóż dziwnego, iż chłop nasz widząc w kłusownictwie łatwy zarobek, doznając pomocy, chętnie mu się oddaje, i zaniedbuje swoje gospodarstwo.

Straż lasowa. — Za moich młodych lat wolno było leśniczym, a nawet nakazywano im utrzymywać gończe psy i jamniki. Leśniczy bez strzelby nie wychodził z domu, ona była mu najdroższą przyjaciołką, a psy wiernymi towarzyszami. Od świtu do nocy był on w lesie, strzegąc z zamiłowaniem drzewa — i zwierzostanu, a gdy nadeszła pora polowania, zwierzyny zawsze było dosyć. Dziś leśniczy jest tylko gospodarzem lasowym, wcale się nie troszczy o zwierzynę, nie ma też zamiłowania do myśliwstwa i naukowych wiadomości o łowiectwie. Od chwili, w której poczęto u nas polować tylko z nagonką, wzbroniono straży leśnej noszenie strzelby, polecono broń przyboczną (kordelas) dla osobistej obrony, a niektórzy z dzisiejszych leśniczych z własnej woli nie noszą strzelby, uważając ją jako niepotrzebną, to też wisi ona od dawna nabita i zardzewiała. W ogóle dzisiejsi wychowańcy naszej szkoły lasowej są niezawodnie dobrymi gospodarzami lasowymi, ale wcale nie tęgimi leśniczymi. Wyjątkowo tylko znajdzie się człowiek, pojmujący w całym zakresie swoje zadanie, a taki zwykle opiera się albo na swem długoletniem lub też na wrodzonem zamiłowaniu do łowiectwa, które rozczytywaniem się chętnem w odpowiednich dziełach kształci. Wielużto mamy leśniczych, którzy przedtem byli lokajami, furmanami, gumiennymi i t. p., taki leśniczy pewnie swego powołania nie pojmuje. W większych majątkach leśniczy oddany jedynie gospodarstwu lasowemu, któremu nie wolno używać broni palnej, spuszcza zupełnie z oka łowiectwo, nie dba o stan zwierzyny, nie umie jej chronić, a zdarza się nawet, że taki leśniczy porozumiewa się z kłusownikami, i od nich haracz pobiera. W znaczniejszych zarządach leśnych są wprawdzie różne stopnie straży lasowej począwszy od dyrektora lasów aż do gajowego, ale wiadomości ich o łowiectwie są zwykle prawie żadne. Miałem sposobność mówić z takimi strażnikami lasów o gospodarstwie leśnem, gdyśmy doszli do zwierzyny, nie wahali się twierdzić, iż gdyby prawo tego nie wzbraniało, kazaliby sarny, zające i inną zwierzynę do nogi wytępić, bo ona czyni szkody w lesie i w sadach. Oto nowocześni leśniczowie — oto ich znajomość organicznej części leśnictwa — łowiectwa. Leśniczy powinien być oraz myśliwym, łowczym w ścisłem znaczeniu tego słowa, a takim być może tylko wtedy, gdy szkoła go do tego ukształci i będzie miał dosyć swobody rozwijać ów szlachetny popęd. Właściciele lasów winni w leśniczym widzieć człowieka nauki, dobrej woli, uważać go jako zastępcę swego i przyjaciela, ufać mu rozumnie, a wtedy przywiąże się on i do osoby i do powierzonego mu obowiązku, i pełnić go będzie z zamiłowaniem i poświęceniem. Niestety nie przebrzmiało u nas jeszcze przysłowie: „Dziś leśniczym, a jutro niczem“. Każdy właściciel lasu pragnie mieć świetny zwierzostan nie wiedząc lub nie chcąc wiedzieć o tem, że on jedynie pracą i staraniem umiejętnem podnieść się da. Leśniczy w większych majątkach nadto jest zajęty gospodarstwem lasowem, by mógł się oddawać łowiectwu, zresztą nie ma do tego niezbędnej nauki. O ile potrzeba wykształconych w wiedzy łowieckiej straży leśnej dotkliwie czuć się daje, o tyle bardziej jeszcze brak nam fachowych łowczych. W całej Galicyi jeden podobno tylko znany jest zawiadowca łowiectwa u hr. Artura Potockiego. Brak takich fachowych łowczych w kraju jest najgłówniejszym powodem ubytku zwierzyny, wystawionej na drapiestwo, kłusownictwo i nieopatrzne jej prześladowanie. Spotkam się tu zapewne z zarzutem, iż utrzymanie łowczych się nie wypłaci. Mylne mniemanie, proszę w tym względzie zasięgnąć rady w krajach monarchii austryackiej lub postronnych, w których łowiectwo jest umiejętnością i źródłem dochodów, a niewątpliwie każdy przekona się i zachęci. Taki łowczy uczy utrzymywać i chronić zwierzynę, usuwa wszelkie nadużycie, tępi drapieżnictwo i kłusownictwo, ściąga i konserwuje zwierzynę, zapobiega jej zbytniemu rozmnożeniu się i szkodom, jakieby wyrządzić mogła, słowem reguluje łowiectwo nietylko w swojej miejscowości, ale też w całej okolicy. Takiego łowczego powinien posiadać każdy powiat, jego obowiązkiem byłoby pod sterem naczelnego Urzędu łowczego strzedz bacznie łowiectwa w swoim okręgu. Taki łowczy dostarczy właścicielom polowania prawdziwej przyjemności i korzyści, krajowi niemałego pożytku i przekona naocznie, iż umiejętnie prowadzone łowiectwo wcale leśnictwu i rolnictwu szkody nie przynosi, owszem dostarcza im źródła dotąd nieznanego znacznej intraty. Dawniej może nie było potrzeby utrzymywania łowczych — dziś stan rzeczy się zmienił, i mogę śmiało twierdzić, iż mimo wszelkich sporadycznych jakoteż zbiorowych usiłowań, w razie niezaprowadzenia tej zbawiennej instytucyi zwierzostan w Galicyi szybkim krokiem podąży ku zupełnemu wytępieniu. Zresztą powołuję się na rezultaty, jakie taka instytucya daje krajom wyżej wymienionym, a tych nikt zaprzeczyć nie zdoła i przyznać musi, że obok świetnego rolnictwa i leśnictwa rozwija się tam racyonalne łowiectwo, i znacznie przyczynia się do bytu i dobrobytu. Nie mogę tu szeroko rozwodzić się nad korzyściami, jakie wynikają z umiejętnego łowiectwa, przykłady i dzieła fachowe niech mnie w tym względzie zastąpią, podam raczej fakta z dziejów naszego dzisiejszego

łowiectwa. Pewien właściciel polowania oczekiwał u siebie dostojnego gościa myśliwego. Pragnąc mu sprawić przyjemność urządzeniem polowania, poleca leśniczemu zająć się niem z świetnym rezultatem pod rygorem utraty służby. Leśniczy, bity frant, radzi sobie jak może, zwołuje leśnych i kilkunastu chłopaków, rozstawia sieci w znanych mu dogodnych miejscach, i w przeciągu czterech dni łowi kilkanaście zajęcy. Zjeżdża się drużyna myśliwska z dostojnikiem, staje na stanowiskach, leśniczy rozstawia gońców, sam zaś, a za nim leśni, wypuszczają z worków wprost na dygnitarza ułowione przedtem zające, zasypując im mąką bałuchy. Zając oślepiony i przerażony idzie wprost na myśliwego, który jednego po drugim ubija. Polowanie oczywiście świetne, gospodarz i gość uradowani, a leśniczy sowicie wynadgrodzony. Także się dzieje często z kuropatwami. Na zamówione polowanie wyłapuje je leśniczy sieciami, wydzierając naprzód ze skrzydeł piórka, aby kuropatwa daleko odlecieć nie mogła i skręcając karki starym kogutom, które jejmość upiekła. Na dwa dni przed polowaniem rozpuszcza leśniczy stadko, wysłuchuje starannie, gdzie się zwołują i zdaje raport o nich. Myśliwi zastają hurmę kuropatw, pudłują lub zabijają — polowanie wyborne, radość powszechna, zwierzostan doskonały, zasługa leśniczego nieomylna. Takich faktów mógłbym wiele przytoczyć, dodam jeszcze, że często nasi leśniczowie używają pomocy kłusowników i w porozumieniu i zgodzie z nimi żyją, zasłaniając się niemieckiem przysłowiem: „man muss leben und leben lassen“. Takim i podobnym nadużyciom tylko sprężysty i umiejętny nadzór zaradzić może, wykonywany przez naczelny Urząd łowczy i fachowych łowców.

Posiadanie broni po wsiach. — Broń palna w rękach naszego chłopa jest niewątpliwie główną przyczyną szerzenia się kłusownictwa. Znam wsie w okolicy, w których o łowiectwo nikt się nie troszczy, gdzie dziesiąty niemal gospodarz ma strzelbę przechowaną, lub posiada kartę na nią od Władzy. Gdy chłop ukończy żniwa, to już z niezmordowaną wytrwałością buszuje ze strzelbą w ręku po polach i krzakach, lub w zasadzce czyha na zwierzynę dodnia lub podwieczór, a do ukrycia jej i wyniesienia służy mu ciemność nocy. Chłop prawnie posiadający strzelbę nie jest sam zwykle kłusownikiem, ale wypożycza strzelbę kłusownikowi, i dzieli się z nim łupem. Najsurowsze Ustawy niepowstrzymują chłopa od kłusownictwa, wreszcie ono często jest powodem zaniedbania gospodarstwa, rozwłóczenia się, rozpicia, przestępstw a nawet zbrodni. Zapobiedz takiemu kłusownictwu można tylko przez zakaz bezwarunkowy posiadania broni palnej po wsiach, wiadomo bowiem, że najściślejszy nawet nadzór temu złemu nie zaradzi. Nie trudno chłopu nabyć strzelbę, za bezcen kupi lufkę, a kowal reszty dokona. Gdy mu ją zkonfiskują, nie wielka szkoda, wnet postara się o inną, żydowscy zwłaszcza kramarze dostarczą mu jej, a nabywają oni strzelby zwykle na icytacyach, które Władze polityczne od czasu do czasu na broń skonfiskowana ogłaszają.

Dzierżawcy polowań gminnych. — Przekonałem się, iż tacy dzierżawcy, czy to związani w Towarzystwo bez statutów i regulaminu, czy też pojedyńczy, są nader szkodliwymi dla łowiectwa i zwierzostanu. Są to urzędnicy, wojskowi, diurniści, pisarze, nauczyciele, rzemieślnicy lub nawet chłopi. Znany mi pod tym względem dokładnie powiat Żółkiewski, *ab uno disce omnes*, wszakże takich miejscowości jest w kraju wiele, zwłaszcza tam, gdzie nie ma właścicieli większych posiadłości, którzy polowania gminne dzierżawią. W Żółkwi samej już od lat kilku nieustannie zawiązują się i rozwiązują Towarzystwa myśliwskie bez statutów i regulaminu, o których śmiało mogę twierdzić, iż raczej kłusownictwem, nie postępowem łowiectwem się trudnią, a że są to ludzie nie bez osobistych wpływów, więc z łatwością wydzierżawiają polowania gminne, nawet wbrew Ustawie bez licytacyi, jak to się stało w bogatej w zwierzostan gminie Glińsko, gdzie nawet naczelnik gminy przez cały rok nie wiedział o wydzierżawieniu polowania, i czynszu na rzecz gminy nie pobierał W taki też sposób wydzierżawiono polowanie gminy Macoszyna, lecz marszałek rady powiatowej usunął wnet to bezprawie. Do tego Towarzystwa przystępują nawet jawni kłusownicy, którzy tym sposobem uzyskują „Waffenpass“. Członkowie tego Towarzystwa trzymają psy gończe i legawce, goniące zwierzynę głosem równie dobrze jak pierwsze. Z ich pomocą plondrują po zadzierżawionych rewirach i cudzych, będąc pewni, iż na mocy swego stanowiska oporu nie znajdą. Gdy wszakże przebrała się miarka cierpliwości, nakazano strzelać do gończych i legawców. Jeżeli gdziekolwiek polują, to owe Towarzystwo niezawodnie czatuje u granicy, i zwierzynę wybija lub psy za nią puszcza. Zaledwie ów dzień błogi zaświta, w którym Ustawa już polować dozwala, poczynają członkowie buszować wszędzie mordując wszystko, co się nawinie, o oszczędzaniu zwierzyny nie ma tu mowy, tak strzelają kaczki i inne ptactwo na jajach. Niech tę rzecz przykład objaśni. Pewnego razu polowano na moczarze, zrywa się kaczka na 5 kroków, która po strzale pada, w miejscu poderwania się znaleziono 15 jaj, które potłuczono w celu przekonania się, w jakim stanie płód się znajduje. Nie skruszyło się serce tych ścierwiarzy *(Aasjäger)*, wnet ubili drugą kaczkę, siedzącą na 9 jajach. Wyszukawszy kaczkę z młodemi mają najlepsze polowanie, bo psy wynoszą jedno młode po drugiem, a jakiż z takich kacząt pożytek? Chłopi im raportują o zwierzynie, gdzie się znajduje i pomagają do jej ubicia. Nie bardzo też szanują Ustawę, i często w niewłaściwej porze pada zwierzyna z ich ręki. Polują w towarzystwie lub pojedyńczo, jak, i gdzie kto chce. W całym kraju tak się dzieje, są to zaiste uprzywilejowane Towarzystwa zawiązane w celu tępienia zwierzyny, a zaradzić temu może tylko Urząd łowczy.

Właściciele większych i mniejszych posiadłości są albo myśliwi albo niemyśliwi. W pierwszym razie przestrzegają ściśle Ustawy i coraz więcej starań łożą około postępowego łowiectwa; w drugim razie są zupełnie obojętni, nic nie wiedzą o grasującem u nich kłusownictwie, zwierzostan wcale ich nie obchodzi, a gdy potrzebują zwierzyny, co przy naszej polskiej gościnności często się wydarza, rozpuszczają na wszystkie strony zgraje drapieżnych strzelców, którzy bez miłosierdzia wszystko, cokolwiek się nadarzy, wybijają w większej części na swoją korzyść, resztę odnoszą do dworu. Najgłówniejsza to pobudka do szerzenia kłusownictwa. Czyż taką nieopatrzność i samowolę nie należy ująć w karby ścisłego rygoru?

Nadzór Władz politycznych i gminnych. Do niedawna jeszcze patrzały Władze na przestępstwa kłusownicze, które wielce przyczyniają się do demoralizacyi ogółu, zupełnie obojętnie, owszem nawet protegowały je często, jak to wspomnieliśmy w ustępach o licytacyach broni zkonfiskowanej i zamawianiu zwierzyny u kłusowników. Wszakże Ustawa nakazuje niszczyć broń zkonfiskowaną, starannie czuwać nad rozprzedażą prochu strzelniczego. A w jakiemżeto miasteczku chłop z łatwością prochu i dynamitu nie dostanie? Tak też niedbale postępują Władze przy wydzierżawianiu polowań gminnych. Dosyć już żalów na nadużycia w tej mierze ogłosił

„Łowiec“ wytykając, iż nie tylko protegowani, ale nawet jawni kłusownicy utrzymują się przy licytacyi. Wprawdzie w ostatnich czasach c. k. Namiestnictwo okólnikami poleciło Starostwom surowe karcenie przestępstw kłusowniczych, ale czyż te polecenia wszędzie i zawsze są wykonywane? Władze gminne prawie wcale nie troszczą się o łowiectwo. Proszę zaglądnąć do aktów Urzędu gminnego, czyż znajdzie się tam ślad ukarania kłusownictwa lub łowienia ptaków spiewających i użytecznych?

Czyż nad łowiectwem krajowem wobec takiego stanu rzeczy nie powinna czuwać specyalna Władza na podstawie fachowej znajomości rzeczy? Odpowiedź na to zapytanie zbyt łatwe, iżbyśmy się nad nią rozwodzić mieli.

W ogólnych tylko zarysach, szkicowo, poruszyłem tę kwestyę, rzecz to niewyczerpująca przedmiotu, ale dostateczna, aby uwagę i energię działania dla dobra kraju skierować ku tej tak dotąd zaniedbanej cząstce dobrobytu krajowego.

W związku z opisem przyczyn, które spowodowały upadek łowiectwa i zwierzostanu w naszym kraju, pozwolę sobie w miarę moich sił i wiedzy podać środki, którymi temu złemu możnaby skutecznie zaradzić. W celu podniesienia naszego łowiectwa na taką stopę, na jakiej ono w Niższej Austryi, Czechach, Morawii i innych krajach koronnych monarchii austryackiej się znajduje, potrzeba przedewszystkiem z całą energiją i zapasem wiedzy zabrać się do dzieła. Trzeba kuć żelazo, póki gorące, raźnie iść do celu. Dzielny wódz, który ma w przeciągu sześciu godzin korpus swój w pewnem miejscu gotowy do walki postawić, w czterech już godzinach przerzuci go na miejsce przeznaczenia, aby swój cel swobodnie mógł osięgnąć. Dla podniesienia łowiectwa w Galicyi na stopę istotnie odpowiednią, dla pomnożenia zwierzostanu i podźwignienia nim w części dobrobytu krajowego, trzeba znacznie więcej zdziałać, jak to się dotąd stało, trzeba ściślejszych Ustaw, przepisów i zarządzeń — dzisiejsze nie wystarczają do osiągnienia zamierzonego celu. Ograniczę się jedynie na wskazaniu najniezbędniejszych środków podźwignienia w kraju łowiectwa i pomnożenia zwierzostanu. Czyż nasze Ustawy łowieckie odpowiadają klimatowi Galicyi? Każdy znawca rzeczy przyzna, iż u nas Ustawa przyczynia się wielce do wytępienia młodej zwierzyny. Weźmy jako przykład słonkę, zabijaną na wiosnę z zasadzki i przy buszowaniu. Na wiosnę skoro powietrze się nieco ociepli, rozpoczyna się parowanie różnorodnych zwierząt. Po zachodzie słońca wabią się i nawzajem szukają, spokój przeto w lesie i w polu jest niezbędnym warunkiem do łączenia się, mięszają ów spokój strzały na przeciągające słonki lub kaczki. Korzysta z tego niepokoju kłusownik i strzela do zwierzyny miejscowej, która się tymi strzałami płoszy i doznaje przeszkody w parowaniu. Tem dotkliwszym jest ów niepokój, iż nasze lasy już znacznie przetrzebione nie dają rozmiarami swymi należytej ochrony zwierzynie. Tak więc słonka niepokojona u nas w czasie lęgu opuszcza nasz kraj i zwraca się bardziej ku północy i zachodowi, a ztąd tylko przypadkiem w jesieni pojawia się u nas, szczególnie w niższych miejscowościach znaczniejsza ich rota. Byłoby rzeczą nieodpowiednią, gdyby tylko w Galicyi Ustawa wzbraniała strzelać na wiosnę do słonek, w celu pomnożenia stanu tej zwierzyny musiałby taki zakaz obowiązywać całą środkową Europę, a szczególnie północ i zachód, a staćby się to mogło w skutek porozumienia się w tej mierze rządów. Podnoszenie i wykonanie tej myśli jest obowiązkiem istniejących dotąd stowarzyszeń łowieckich, które połączonemi siłami do tego zbawiennego celu dążyć powinne.

Rozpatrując się dalej w Ustawie łowieckiej, dostrzeżemy, iż niejedno w niej dla Galicyi nieodpowiednie musi być zmienione, lub przez dodatkową Ustawę zaostrzone. Ponieważ człowiek samowolnie i zbrodniczo naruszył porządek natury, przeto różne nastąpiły nader szkodliwe tak dla niego samego jakoteż dla zwierzostanu zmiany. Powodzie, zimne wiatry i deszcze, późniejsze uprzątanie roślin polowych, w ogóle zaś nienormalność ciepła wiosennego, przynoszą dotkliwy uszczerbek nie tylko dla lęgu, ale też i dla płodu, i wywołują częstokroć powtórny lęg ptactwa, a wystrzeliwaniem starych brak opieki dla młodego płodu i jego wygubienie. Pora dozwolona łowów na ptactwo błotne od 1, na przepiórki od 16 Lipca, na kuropatwy od 16 Sierpnia jest zawczesną i przynosi niemałą szkodę. Rzecz tę należałoby starannie rozważyć i uregulować, mianowicie obok Ustawy łowieckiej powinne Towarzystwa myśliwskie regulaminem ściśle przestrzeganym Ustawę tę zaostrzyć, i w ogóle nie polować w polu, jak długo zasiewy jeszcze nie zebrane, a to tem bardziej, że wtedy myśliwy i pies jego znaczną czyni wieśniakowi szkodę, a płód zwierzyny jeszcze nie łownej wiele na tem cierpi.

W celu podniesienia łowiectwa niższego rzędu w Galicyi należy przedewszystkiem tworzyć Towarzystwa myśliwskie i starannie przestrzegać Ustawy, statutów i regulaminów w każdym względzie. Towarzystwa te mają się poddać naczelnemu kierownikowi swego centralnego organu czy też urzędu, od nich odbierać wskazówki i zarządzenia, z niemi nieustannie się porozumiewać co do zwierzostanu, zachodzących wątpliwości, względnej szkodliwości kłusownictwa, pojawienia się stanu chorobliwego zwierzyny i t. d. Zadaniem takich Towarzystw mają być nie tylko łowy same, ale też prócz nich szlachetniejszy cel podnoszenia z całą siłą i energią zwierzostanu, a szczególnie tępienia zwierząt drapieżnych i kłusownictwa, zapobiegania nieuprawnionej sprzedaży zwierzyny, a obok tego powinne starannie baczyć, aby wieśniak z powodu łowiectwa nie doznawał szkody, nie miał powodu do usprawiedliwionej skargi, wreszcie niech wieśniaka, a szczególnie pasterzów nauczają, iż ochrona gniazd i w ogóle zwierzyny jest niezbędną i nader pożyteczną potrzebą. Do takich Towarzystw powinni się bezwarunkowo garnąć ci zwłaszcza właściciele większych posiadłości, którzy nie mają większych lasów i obszarów łowieckich, i wzajemnie się w tym szlachetnym celu wspierać. Życzyćby też należało, aby owe Towarzystwa oparły się o posiadaczy wielkich obszarów łowieckich, z strażą lasową tychże dla osiągnienia swego celu porozumiewały się, i wzajemnie sobie rady i pomocy udzielały. Nie łatwe to zadanie tworzyć prawdziwie pożyteczne Towarzystwo, lecz nie trzeba się poddawać zwątpieniu, mamy mężów w kraju, którzy z silną wolą i energią tę rzecz przeprowadzą, trzebaż ich wspierać i nie dopuścić, aby względy na dostojeństwa, ród lub majątek ich działania paraliżowały, owszem niechaj swobodnie rozwiną swą czynność w celu podniesienia łowiectwa i dobrobytu krajowego. Równe prawo dla wszystkich, żadnej zawiści, żadnej różnicy co do stanowiska społecznego lub majątkowego, wspólne dążenie, wzajemna pomoc, bezwzględne i ściste wykonywanie prawa, statutów i regulaminów — oto warunki, na których Towarzystwa opierać się muszą. Przedewszystkiem należy tamę położyć przekupnictwu zwierzyny, wtedy tylko poskromi się stanowczo kłusownictwo, również ścisły dozór nad rozsprzedażą amunicyi musi być wprowadzony, jakoteż zupełne odjęcie prawa posiadania broni chłopom i innym niepewnym indiwiduom, i najsurowsze karcenie przestępstw są niezbędnie potrzebne. Broń palną powinien posiadać tylko należący do Towarzystwa my-

śliwskiego lub posiadający własny obszar łowiecki. Rozsprzedaż zwierzyny mają Towarzystwa myśliwskie powierzać wiarogodnym kupcom (bezwarunkowo nie żydom), a oni wystawiają do nabycia tylko taką zwierzynę, jaką pora Ustawą wskazana dozwala. Zakupno zwierzyny od kłusowników, przekupniów lub osób nieznanych i nieupoważnionych ma być owym kupcom najsurowiej wzbronione i ostro karane. Na zakupno i rozsprzedaż zwierzyny najbaczniejszą trzeba w całym kraju zwracać uwagę. Gdy się poskromi przekupnictwo zwierzyny, prowadzone obecnie na wielką skalę przez żydów, to wkrótkim czasie zniknie zupełnie kłusownictwo.

W celu podniesienia zwierzostanu w ogólności, a niższego rzędu łowiectwa w szczególności, staje się przedewszystkiem koniecznością, aby w Galicyi nauka łowiectwa jako obowiązkowy przedmiot uczniom szkoły lasowej była wykładaną, a przeto aby leśnictwo i łowiectwo w osobie wychowańca tej szkoły ściśle się z sobą związały. Gdy wszakże rzecz ta dopiero na mocy Ustawy dokonaną być może, gdy obecnie wykształceni w łowiectwie leśnicy do wyjątkowych należą, a umiejętni w obu tych gałęziach wiedzy urzędnicy lasowi ledwie po kilku latach ze szkoły wyjść mogą, nasuwa się gorąca potrzeba, aby tymczasem przynajmniej posiadacze rozległych obszarów łowieckich mieli u siebie wykształconych łowców, którzyby objęli opiekę nad zwierzostanem, i dobroczynny wpływ swój w około szerzyli.

Łowiectwo jest obszerną nauką, nader pożyteczną nie tylko dla właściciela polowań, ale też dla kraju całego, i nie ustępuje wcale w znaczeniu leśnictwu. Jedynie umiejętnie wykształcony, a przytem doświadczony łowiec zdoła podnieść zwierzostan, i wyciągnąć z niego znaczne korzyści. W poprzedniej rozprawie, traktującej o stronach ujemnych naszego obecnego łowiectwa wykazałem, o ile dzisiejsi leśniczowie temu celowi nie odpowiadają. Gdyby wszakże obok leśniczych działać poczęli wykształceni łowcy, lub przynajmniej pierwsi mieli w tym względzie dokładną rzeczy znajomość, toby się wnet temu złemu zaradziło. Wtedy łowiec i leśniczy wspólnie i zgodnie pracowaliby w jednym celu, zwierzostan w krótkim czasie wzniósłby się wysoko bez uszczerbku dla leśnictwa, a z wielkim pożytkiem dla kraju. Takiemu łowczemu jako urzędnikowi należy udzielić zupełnej mocy w sprawie utrzymywania zwierzyny, i przyjmuje on odpowiedzialność za wszystko, cokolwiek w jego zakresie się dzieje. Nad nimi zaś czuwa naczelny Urząd łowczy, który też porozumiewa się z centralnem Towarzystwem łowieckiem i innymi Związkami myśliwskimi, obejmuje nadzór nad łowiectwem krajowem w ogóle, sprawdza zwierzostan pojedyńczych obszarów, usuwa wszelkie nadużycia, zarządza ochronę pewnej zwierzyny, zbiera statystyczne daty, wskazuje środki pomocnicze w każdej mierze, w ogóle wszystko czyni, cokolwiek do podniesienia zwierzostanu i łowiectwa jest potrzebnem. Możnaby zarzucić, że kraj na ten cel łożyłby zbyt znaczny a mało produktywny koszt, ale takie twierdzenie jest niezawodnie mylnem. Wszakże w każdym niemal powiecie naszego kraju są wielkie posiadłości z rozległemi kniejami, które, jak już wyżej nadmieniliśmy, muszą dla własnej korzyści utrzymywać wykształconych łowców. Tym należałoby powierzyć obowiązek urzędowego czuwania nad łowiectwem w powiecie.

Łowy niższego rzędu, których stan obecny jest tak bardzo w Galicyi zaniedbany, znacznie mogłyby się przyczynić do podźwignienia dobrobytu krajowego, gdyby je uregulowano. Wiadomo, jak nisko stoi u nas hodowla sarn, zajęcy i kuropatw, jeżeli się temu rychło nie zaradzi, to zagraża tej zwierzynie niebezpieczeństwo zupełnego wytępienia. Kłusownictwo, przekupnictwo, Towarzystwa i pojedyńczy dzierżawcy polowań, tępiący bezwzględnie zwierzynę, a nie troszczący się wcale o jej hodowanie, ochronę, zimowanie, z prostej chciwości wyrządzający większą w zwierzostanie szkodę, jak wszelkie drapieżnictwo – zagnieździły się niestety u nas za nadto silnie, abyśmy nie uczuli potrzeby wykorzenienia tego złego z gruntu. Zważmy, że Galicya, bacząc na jej rozłogi leśne, moczary, łąki, stawy, rzeki i niezmierne pola, o wiele korzystniejszem jest terenem dla postępowego łowiectwa, jak inne kraje koronne, z wyjątkiem Węgier. Zwróćmy uwagę naszą następnie na Niższą Austryę, Czechy, Morawję i Szląsk, gdzie z powodu rozmnożonej ludności i starannej kultury rolnej i leśnej zwierzyna bywa nieustannie niepokojoną, to niezawodnie się okaże, że Galicya stosunkowo najniższy posiada zwierzostan, gdy przeciwnie przy tak dogodnym terenie dziesięćkroć więcej jej posiadaćby powinna. Smutne to, wykazuje oraz nieopatrzność naszą bez granic w każdym kierunku, a w tym względzie brak przedewszystkiem wykształconych łowców, którzyby się energicznie zajmowali uregulowaniem łowiectwa krajowego. Wcale to nie wystarcza, jeżeli tu i owdzie rozumny właściciel obszarów łownych za pomocą sprężystej straży leśnej zabiega wytępieniu zwierzyny przez kłusownictwo, wygubia drapieżnictwo, zajmuje się hodowaniem zwierzyny — tem jeszcze cel nie będzie osiągnięty, doświadczenie i nauka podają nadto inne środki, które użyte być muszą w celu pomnożenia zwierzostanu w kraju. Mianowicie należałoby z pomocą ankiety złożonej z fachowych łowców poprawić i uzupełnić Ustawę łowiecką, zaprowadzić w Szkole gospodarstwa lasowego osobny wykład łowiectwa, ustanowić naczelny Urząd łowczy, ułożyć statuta i regulamin dla Towarzystw, tępić gorliwie zwierzęta drapieżne, jak lisy, kuny, tchórze, łasice, bociany, sroki, srokacze i t. d., pouczać lud wiejski o niezbędnej potrzebie ochraniania młodzieży zwierzęcej i gniazd, czuwać nad surowem karceniem przestępstw wbrew Ustawie, ograniczyć prawo posiadania broni palnej i amunicyi, wreszcie stać na straży, aby Władze polityczne bezstronnie i energicznie strzegły prawa, a faworyzowaniem rodu i majątku nie szerzyły w ludności krajowej niezadowolenia i wstrętu. Gdy owe podane środki żyć i działać poczną i doznają u sfer najwyższych poparcia, to już wtedy zwierzostan Galicyi będzie zapewniony, i z każdym rokiem wznosić się będzie do imponującej siły.

Na cóż więcej słów w tym przedmiocie, niech pod dewizą: *viribus unitis* wszyscy miłośnicy łowów w imię dobra kraju i w gorącem poczuciu swego obowiązku podadzą sobie nawzajem pomocną dłoń w celu ustalenia w tym kierunku ładu i porządku i otworzenia nowego źródła, z którego kraj ożywcze zdrowie i siły obficie czerpać będzie.

ŁOWIENIE PSTRĄGÓW WĘDKĄ

PRZEZ

C. J. K.

Niechaj mi wolno będzie przesunąć przed szanownymi czytelnikami „Łowca“ mały obrazek łowienia pstrąga wędką, jednej z gałęzi łowiectwa, która lubownikom rybołowstwa niezwykłego dostarcza uroku. Nie mogę twierdzić, iż mistrzem być w tym zawodzie bardzo trudno, ale też nie bardzo łatwo, a niezbędnym warunkiem w tym celu jest pilne zwracanie uwagi na naturę pstrąga i badanie jego trybu życia. Mistrzem w tym względzie jest nasz Hucuł-rybak, i nie dziw, wie on bowiem dokładnie, jakie pstrąg najchętniej przyjmuje pożywienie, w jakiej porze dnia i roku najlepszy na niego połów. od chłopięcia zajmując się połowem ryb, w ciągłej styczności z naturą i jej życiem, staje się doskonałym znawcą.

Nie od rzeczy będzie rzucić naprzód kilka słów o naturze pstrąga. Zamieszkuje on zimne, rwące, prawie wyłącznie górskie tylko potoki i rzeki od samych źródeł tychże. W wodach nizinnych, stosunkowo znacznie wyższą posiadających temperaturę, rzadko przebywa, wód namulistych, zanieczyszczonych dopływami z kanałów lub scieków fabrycznych, unika starannie, są one nawet dla niego zabójczemi. W miejscach swego pobytu, wybiera chętniej brzegi ocienione drzewami i krzewami, jakoteż większe głębiny, gdzie pod kamieniami znajduje bezpieczne schronienie. Bardzo też chętnie przebywa wśród spadów większych wody, zwanych przez hucułów „szypotami“. W takich miejscach siedząc przez dzień cały, czatuje na przepływającą pastwę, w mgnieniu oka wypada na nią z swojej kryjówki, i natychmiast wraz z łupem chroni się do niej. Pożywieniem jego są rozmaite owady, które przypadkowo do wody wpadają, różnorodne wymoczki, ikra rybia, robaki, małe żabki, a nawet ryby mniejsze tak swego jakoteż obcego rodu. Głównym warunkiem jego życia jest powietrze, więc w porze silnych mrozów przebywa w pobliżu miejsc niepokrytych lodem. Staranny rybak winien w razie zupełnego zamarznięcia wód przerębywać płonki w celu dostarczania pstrągom powietrza.

Tarło pstrągów odbywa się w miesiącu Październiku i Listopadzie, a często nawet w Grudniu. Zapłodniony ikrzak wykopuje na dnie wody maleńki dołeczek głębokości 3 cm., składa ikrę dochodzącą do 2000 sztuk, i przykrywszy lekko piaskiem opuszcza ją, z tego więc powodu ginie większa część tej ikry przed wykształceniem się narybku. Wezbrane wody unoszą ją lub przywalają namułem. Zresztą inne gatunki drapieżnych ryb jak: okoń *(perca fluviatilis)*, głowacz *(cottus)*, szczupak *(esox lucius)*, głowacica *(salmo hucho)* wyjadają ikrę lub wylęgły już narybek. Również wydra wyrządza ogromne szkody, wyniszcza ona ryby, przerzucając się z jednego potoku w drugi, rozpoczynając zawsze od dołu i postępując aż do źródeł. Młode rybki pożera w wodzie, większe wynosi na brzeg, liczne też można widzieć szkielety ryb na brzegach wód, w których wydra przebywa. Spławianie drzewa, częste wzbieranie wód, tajanie lodów wywołują również znaczny ubytek w stanie pstrągów, a to tem bardziej, iż pstrąg w skutek najmniejszego uszkodzenia ginie. Najgroźniejszym jednak niszczycielem jest rybak-kłusownik, nie tylko bowiem używa rozmaitych przyrządów, ale nadto dynamitu, którym nie tylko rybę tępi w miejscu explozji, ale też ogłusza okoliczną, a ta rzadko zaraz na powierzchnię wody wypływa, najczęściej wynoszą je wezbrane wody w stanie zupełnego rozkładu.

Pstrąg jest rybą drapieżną, z natury ostrożną, płochliwą, nieufną, przeto przy połowie z wędką ostrożnym być należy, pstrąg bowiem czatujący pod kamieniem, z pod którego tylko bystre oczy się okazują, baczną zwraca na wszystko uwagę. Lekkie spadanie na wodę owadu, nawet cień przelatującego ptaka nie ujdzie jego bystrego wzroku. Rozmowy trzeba zaniechać, do brzegu zbliżać się cicho. Pstrąg niechętnie idzie ku brzegom, woli środek łożyska, tylko w razie wzbierania wód posuwa się ku brzegom, szukając zaciszy, ochraniającej go od gwałtowności prądu, i tam najczęściej wpada w nastawione saki. Podczas tajania lodów gromadzi się w większych głębinach. Pstrąg jest żywym i ruchliwym, po pięknym, letnim dniu lubi wieczorem igrać po powierzchni wody, wyskakując z niej często za unoszącemi się w powietrzu owadami i muchami. Temperatury wyższej jak 12° C. nie znosi, czem wyjaśnia się brak pstrąga w wodach nizinnych, z tego też powodu szuka miejsc ocienionych, tam bowiem znajduje odpowiednią dla siebie temperaturę. Na powietrzu rychło ginie, nie da się też długo mięso jego konserwować. Jeżeli ma być dalej przesłany lub dłużej dla domowego użytku przechowany, to tylko w marynacie lub uwędzony. W celu uwędzenia zawiesza się kilkanaście pstrągów, starannie wyczyszczonych i nieco masłem natartych, na sznurku lub cienkim pręcie w dymie kominowym na kilka dni.

Mięso jego białe, smaczne, a najwyborniejszym jest pstrąg, gdy dochodzi wagi jednego kilograma. Dobrze wyżywiony w wodach płynących ma czasem półczwarta kilograma wagi. Ości w nim mało, ztąd nader poszukiwany przez lękliwych lubowników rybiego mięsa. Ceny jego są rozmaite w miarę wielkości, większe są droższe i więcej poszukiwane. Daje się też chować w sadzawkach, w których jednak temperatura nie powinna być wyższą, jak 12° C., powinien też być w nich nieustanny przypływ wody świeżej, jakoteż sztuczne spady wody i dosyć cieniu. Tu hodowany pstrąg mięsem tłuczonem i drobno krajanem, rybkami, dochodzi do 6 kilogr. wagi. Pragnących mieć bliższą wiadomość o hodowaniu pstrąga i w ogóle ryb, odsyłam do dzieła: Zużytkowanie rzek, stawów, bagien, jezior, dołów torfowych na chów ryb, raków i pijawek Lindesa. Kraków 1867.

Rzuciwszy kilka rysów dotyczących natury i trybu życia pstrąga, przystępuję do właściwego zadania, a dla lepszego przeglądu rzeczy pozwalam sobie podzielić je na dwie części: na opis wędki i przynęty, i samego sposobu łowienia. Wędka składa się z pręta, sznura i haczka. Najodpowiedniejszych prętów do wędki dają krzaki leszczyny, rosnącej śród naszych bukowych i dębowych lasów, jako podszycie w większych drzewostanach, mają pręty wyniosłe, i nie posiadają zwyczajnie wiele bocznych odrośli. Pręty takie od ziemi wycinać należy, odrośle bowiem nigdy nie mają należytej giętkości. Najlepsze są pręty wycięte w porze zimowej, kiedy drzewo najmniej soków posiada, mianowicie w Grudniu i Styczniu, w innej porze, zwłaszcza podczas pędzenia latorośli, pręty są kruche, więc wcale nieprzydatne. Długość prętów nie po-

winna przenosić $3^1/_2$ do 4 metrów, koniec w ręku trzymany grubości niewiększej jak $3^1/_2$ cm. w średnicy. Pręt ma być okrągły, nie wygięty w swej długości, niezbyt cieńszy od jednego końca do drugiego. Wygięcie z natury lub po dłuższem używaniu wynikłe daje się wyprostować dosyć silnem ogrzewaniem miejsc pochylonych nad płomieniem, wtedy bowiem pręt odzyskuje giętkość i można go sprostować. Uważać jednak należy, by się pręt nie przepalił, bo w takim razie przy prostowaniu lub w użyciu łatwo się łamie. Przed użyciem muszą pręty dobrze wyschnąć, w tym celu rozkłada się je pojedyńczo w miejscu suchem, przewiewnem, najlepiej na poddaszach lub strychach, na kilka tygodni. Nader szkodliwem dla prętów jest składanie ich wiązkami, bo wtedy nie wysychają należycie, psują się i stają przytuliskiem owadów, toczących je. Próbuje się użyteczności pręta przy wycinaniu w lesie biorąc grubszy jego koniec w rękę, chwiejąc nim i uważając bacznie, która część bardziej się podaje. Pręty chwiejące się tylko w górze, mniej więcej w trzeciej części szczytu są najprzydatniejsze, uginające się zaś od połowy lub w całej długości wcale nieużyteczne. Niektórzy rybacy zachwalają pręty ze świerków i jodeł młodych. Mają one wprawdzie pożądaną giętkość, lecz dolny ich koniec jest o wiele grubszy, jak laskowy, nadto usychając rychło tracą elastyczność, kruszeją, łamią się, więc trzeba albo nieustannie swieże wycinać, lub często wodą zwilżać.

Drugą częścią wędki jest sznur, którego jeden koniec przymocowany jest do cieńszego końca pręta, drugi zaś opatrzony haczkiem żelaznym. Sznur ten bywa skręcony z samego tylko białego włosienia końskiego, lub przeplatany jedwabiem, albo też jedwabny w górnej połowie, przymocowany do pręta, w dolnej zaś z włosienia. Najczęściej używany bywa sznur włosienny. Dwa włosienie związane u jednego końca wkłada się między wskazujący i wielki palec lewej ręki tak, by węzełek włosieni za palcami wystawał, następnie skręca się tymiż palcami prawej ręki włosienie, począwszy od węzełka, przyczem posuwa się włosienie do góry. Skręciwszy je aż do drugiego końca, związuje się je. Jeżeli potrzebny jest sznur grubszy, skręca się dwa powyższe sznurki w jeden w taki sam sposób, związuje się i naciera w całej długości kalafonią, końce włosienia z węzłów obcina się lecz niezupełnie. Sznur może być dowolnej długości, nie dłuższy jednak, jak 5 do 6 metrów, zresztą dłuższy odpowiedniejszy, bo może być użyty w obszerniejszych przestrzeniach wodnych, w węższych zaś w miarę potrzeby około pręta nawinięty. Grubość sznura stosuje się do wagi ryby, która ma być łowioną, zbyt gruby płoszy pstrąga. W górnej swej części powinien być sznur grubszy, więc niech się składa z 12 włosieni, dolny zaś z 6 lub 8. Niektórzy rybacy przymocowują u końca sznura kiszeczkę baranią, wyglądającą jakby struna, i do niej przywiązują haczek. Przy imitowanych, sztucznych owadach haczek jest zawsze do cienkiej, trwałej kiszeczki uwiązany. Włosień do sporządzenia sznura należy brać zawsze z żywego konia, z nieżywego pod ciężarem złowionej ryby łatwo się przerywa. Najlepsze są włosienie używane do smyczków, bo jest silny i znacznej długości. Do cieńszego końca sznura przywiązuje się haczek. Jestto cienki pręcik stalowy, zgięty w trzeciej części w kabłąk. Krótszy jego koniec zaostrzony szpiczasto, a przy samym prawie końcu odgięte są dwa małe kawałeczki pręta do góry, w dole od siebie oddalone, a u góry stanowią jedną całość z prętem tak, że koniec ten ma kształt małej kotwicy. Oddalone od siebie końce są również szpiczasto zaostrzone. Haczków takich nabyć można w każdym handlu żelaznym, uważać jednak należy, by nie były zardzewiałe i wszystkie końce dobrze zaostrzone. Najlepsze wychodzą z fabryk angielskich, zwykle barwy niebieskawej. Co do wielkości najodpowiedniejsze są do połowu pstrąga haczki numeru trzeciego lub drugiego. U Hucułów rybaków widziałem haczki robione ze zwykłej szpilki, w których dolny tylko koniec zgięty był w kabłąk. Łowią nim tak dobrze, jak kupionym. Oto główne części składowe każdej wędki. Rozróżniam dwa rodzaje wędek, dzienne i nocne. Dzienną przyrządza się w sposób wyżej podany, a nosi ona taką nazwę, bo łowi się nią tylko w dzień i wymaga współdziałania rybaka, który prętem drewnianym nadaje kierunek haczkowi. Drugiej wędki używa się tylko w nocy. Przy niej nie ma pręta tylko sznurek i haczek. Rybak nie jest współczynnym, zarzuca ją wieczorem w wodę, drugi zaś koniec sznura przymocowuje u brzegu. Ponieważ prąd wody może sznur unieść i ku brzegowi skierować, a przy nocnej wędce bardzo na tem zależy, by haczek mniej więcej w środku łożyska się znajdował; przeto obciąża się sznur kamieniem, który opadłszy na dno utrzymuje sznur w pewnym kierunku. Często ma wędka nocna inny kształt. Przez całą szerokość rzeki przeciąga się sznur tak, by cały w wodzie leżał, następnie w pewnych równych odstępach, mniej więcej jednostopowych przytwierdza się haczki na sznurkach rozmaitych długości, nie przenoszących jednak czterech stóp.

Gdy wędka gotowa, nakłada się na haczek przynętę, czyli żer dla pstrąga. Są to wyżej podane ulubione jego przysmaki, mianowicie rozmaite gatunki owadów, much, robaków, małe żabki lub rybki. Przy nawlekaniu na haczek obrywa się owadom i muchom skrzydła i nogi. Do wędek nocnych najlepsze są małe rybki, żabki lub robaki. Żabek przy dziennych użyć nie można. Uważać należy przy kierowaniu wędką, aby owady i rybki miały pozór żywych, swobodnie się poruszających. W braku żywej przynęty używaną bywa sztucznie robiona w postaci owadów, bądźto w fabryce lub też ręką. W tym celu nawija rybak na haczku włóczkę, i umocowuje do niej małe ptasze piórka kolorów takich, jakie w tej porze mają, gdy nad wodą jako żywe się unoszą. Much i owadów zawsze dosyć po krzakach nadbrzeżnych, gdzie zwykle w miejscach ocienionych się znajdują, i dopiero wieczorem ponad wodę wzlatują. Przechowuje się je w puszkach blaszanych lub słojach szklanych. Robaki wykopuje się z ziemi wilgotnej, gdzie przebywają w głębokości jednostopowej lub też pod kamieniami. Dla nich do puszek lub słojów wkłada się trochę trawy lub mchu. W czasie posuchy pozyskuje się dżdżownice polewając przez dłuższy czas pewną prestrzeń ziemi wodą, poczem wkrótce pojawiają się sądząc, że deszcz ziemię zwilżył. Przy robieniu sztucznej przynęty jakoteż przy nawlekaniu żywej koniecznością jest nadanie jej naturalnej formy. W takim tylko razie pstrąg bez wahania i zwykłej podejrzliwości chwyta pastwę.

Rybołowstwo z wędką poczyna się w pierwszych, pięknych dniach wiosny, i trwa aż do mrozów, do Października lub Listopada. Połów pstrąga rozpoczyna się w pierwszych pogodnych dniach Marca i trwa do końca Sierpnia, wtedy bowiem poczyna się tarło. Do połowu obiera się zacisze rzeczne ocienione, gdzie drzewa nie utrudniają rzutu wędki. Łowiąc za pomocą ponęty z much lub innych owadów, nie puszcza się nigdy całego sznura z haczkiem do wody, lecz podnosząc i spuszczając haczek kieruje się nim tak, iżby się zdawało, że owad żywy dotyka powierzchni wody i znowu się unosi. Przynętę z rybek wpuszcza się w połowę głębokośic wody.

Na szypotach puszcza się haczek z wodą, i albo się za nim postępuje, lub wyjmuje i na nowo zarzuca. Ołowiu do obciążania używa się tylko przy nocnej wędce, popławki przy żadnej.

Gdy pstrąg się złowi, czuje się to zaraz, pociąga bowiem sznur, i pręt u góry się wygina. Często nie bywa sznur przymocowany do pręta, lecz przez małe kółko do ręki sprowadzony, w takim razie jeszcze łatwiej daje się czuć zahaczenie pstrąga. Złowione na wędki nocne ryby zbiera rybak nad rankiem, musi jednak baczyć, aby kto nie podpatrzył i wcześniej go nie wyręczył. Pstrąga można łowić przez cały dzień, najskuteczniej wszakże od świtu do 10ej rannej i popołudniu od 4ej godziny, bo wtedy pstrąg najgłodniejszy i za pastwą się upędza. Wędki nocne zakłada się z zachodem słońca. Cisza i dzień pogodny wielce przyczyniają się do pomyślnego połowu. Dobrą jest także pora po deszczu chwilowym. Gdy woda mętna, używa się do wędki dziennej robaka, gdy czysta, muchy i owadów. Jeżeli niebo zachmurzone i wiatr lekko marszczy powierzchnię wody, wtedy najpomyślniej się łowi z sztucznym owadem, nie należy jednak wtedy często wyjmować i wpuszczać wędki. Gdy się uczuje, że pstrąg zahaczony, nie trzeba gwałtownie wędki z wody wyciągać, lecz szarpnąwszy sznurkiem. aby haczek mocniej się wbił, zwolna rybę do brzegu przyciągać. W skutek nagłego szarpnięcia często się sznur przerywa i nie tylko pstrąg, ale i haczek przepada. W każdym razie trzeba mieć zapas haczków. Ponieważ pstrąg jest ostrożny i podejrzliwy i dobrze się w koło rozpatruje, przeto zbliżać się trzeba do wody wolno i uważnie. Strój rybaka najodpowiedniejszy szary lub zielony, jako mniej rażący. Na ułowioną rybę najodpowiedniejsze są kosze niewielkie, podłużne, zawieszone na pasie przez plecy. Często uwiązuje się na jednym sznurze w odstępach niezbyt od siebie odległych dwa lub trzy haczki, jeden nad drugim na krótkich sznureczkach. Z tych haczków górny jest zwykle największy.

Oto krótki rys sposobu łowienia pstrąga. Ma ten połów zapalonych zwolenników, ale też i zawziętych przeciwników szczególnie ze względu zdrowia. Prawda, iż nieuwaga, nieostrożność, długie przebywanie nad wodą lub w wodzie wywołuje złe skutki, ale rozważna i umiarkowana taka czynność, dostarcza wiele przyjemności, i może nawet stać się namiętnością.

Polowanie na wilki

PRZEZ

Wiktora Cossmanna.

W roku 1851 bawiąc w kąpielach, zrobiłem znajomość z baronem K., którego ojciec, stary generał z czasów Napoleona I, znaczne posiadał dobra w Lotaryngii, w północnozachodnich Wogezach. Ponieważ przyjaciel mój przedstawił mnie baronowi jako myśliwego, więc naturalnie wszczęła się zaraz pogadanka o łowiectwie. Baron mieszkał w górach, w których podówczas wilków i dzików było więcej, jak gdziekolwiek w Europie, prócz chyba w Rossyi, nic więc dziwnego, że był on zapalonym i wytrawnym myśliwym. Opowiadał nam, iż ojciec jego jest *louvetier dans les Vosges* (arcyłowiec na wilki w Wogezach) zaszczyt, o który się znakomitsi posiadacze lasów skwapliwie ubiegają, nadaje on bowiem prawo tępienia wilków w każdej porze i urządzania łowów na nie. Przyrzekł zaprosić nas w następnej zimie na takie polowanie, jakoż istotnie dotrzymał słowa. Nieraz już polowałem w okolicy Saary na wilki, nawet z osobistem powodzeniem, rabusie te bowiem w zimie, gdy śniegi w Wogezach i Ardenach zbyt są nawalne, zchodzą do nizin; zaproszenie jednak barona miało jeszcze i ten powab, iż dostarczoną mi była sposobność bliższego poznania pierwotnej siedziby tych drapieżników. Zaproszenie opiewało na 26. Listopada, dzień imienin generała. Wówczas nie była jeszcze Francya z Prusami kolejami związaną, trzeba było jechać pocztą, i ledwo w $1^1/_2$ dnia zdążyłem do mego przyjaciela. Ztamtąd mieliśmy wygodnym powozem wjechać w granice Francyi aż do stóp góry Mont rouge, gdzie się znajdował zamek generała K. Podróż, w przyjaznej porze, w towarzystwie przyjaciela, którego usposobienie i pogląd na świat do tego stopnia z mojemi się zgadzały, iż jakiś fałszywy ton do naszej pogadanki wmięszać się nie mógł, lubo nie zawsze w kwestyach mniejszej wagi zgadzaliśmy się z sobą, w okolicy nieznanej, a pełnej uroku, obok wspólnej nam obu pożądliwości użycia uciech życia, zresztą przy zupełnej swobodzie pospiechu lub pozostania dłużej na jakiem miejscu, godnem bliższego poznania — dostarczała nam prawdziwej rozkoszy. Podróż ta urozmaiconą była uroczemi zmianami okolic i przygodami, szczery przeto żal nas ogarnął, gdyśmy mieli stanąć u kresu. Po południu trzeciego dnia wjechaliśmy przez długą aleę grubopiennych, obecnie z liści ogołoconych kasztanów, i sklepioną bramę w dziedziniec rezydencyi generała K. Dziedziniec ów był w koło murem obwiedziony. Trzy strony jego zajmowały zabudowania gospodarcze, z których dochodziły głosy ruchu maszyn, ryku bydła i nawoływania robotników; naprzeciw bramy zaś wznosił się wspaniale trzypiętrowy zamek, z kamienia ciosowego, w stylu odrodzenia zbudowany. Z psiarni odzywało się szczekanie i wycie złai, złożonej niezawodnie z trzydziestu lub więcej psów różnej rasy i wielkości, gdakały kury, wrzeszczały gęsi i kaczki, indyki bełkotały i wzdymały się, jednem słowem jawnem było, że to posiadłość zamożnego właściciela i skrzętnego gospodarza. Powóz nasz zatrzymał się przed wysokiemi, kamiennemi schodami zamku, ozdobionemi żelaznemi poręczami. Z drzwi wchodowych, nad któremi występował znacznie okazały herb, a pod nim słowo powitalne: „Salve!“, wynurzyła się piękna postać sędziwego właściciela zamku, która tak imponujące, a zarazem ujmujące na mnie wrażenie uczyniła, iż widzę się zniewolonym opisać ją bliżej. Proszę sobie wyobrazić męża herkulicznej, wielce proporcyonalnej budowy, wysokości sześciu a nawet więcej stóp, z mlecznym włosem na głowie, który z pod zielonej, złotem tkanej czapeczki jeszcze bujnie spływał, z żywo zarumienionem obliczem, wielkiemi, błyszczącemi oczami, z nosem kształtnym orlim, i starannie pielęgnowaną pełną

brodą, po nad którą żywo zarysowały się usta rumiane, świeże, jakoby uroczej dziewicy. Sędziwy Generał miał na sobie zielony frak myśliwski z nieodstępną odznaką legii honorowej w dziurce od guzika, kamizelkę z zielonego jedwabiu, nisko spadającą, i siwe spodnie spuszczone w wysokie, lakierowane buty. Koszula na szerokiej piersi spiętą była dwoma iskrzącymi brylantami. Dostojny gospodarz podniósł nad głową czapeczkę i powitał nas głosem pełnym dźwięku i życzliwości. Weszliśmy przez schody do wspaniałych komnat, przedstawiono nas i przyjęto tak serdecznem uściśnieniem ręki, iż palce moje, zaprawdę nie bardzo delikatne, w godzinę jeszcze potem czuły owo powitanie. „Mój syn wyjechał konno, aby poczynić jeszcze niejakie zarządzenia na dzień jutrzejszy“ — przemówił baron K. prowadząc nas przez obszerny przedsionek i przez szerokie, dywanami wyścielone schody na górę — „przypadła mi więc przyjemność powitania przed nim miłych mi i pożądanych gości. Przybyliście pierwsi, inni panowie zaledwo przed nocą zdążą. Rozłóżcie się w tych koszarach myśliwskich ile możności najdogodniej, za pół godziny zaproszę was na lekki posiłek“. Poczem wyszedł, a my ubierając się mieliśmy sposobność bliżej zapoznać się z tak zwaną koszarą myśliwską. Był to ogromny pokój narożny o trzech wysokich oknach, które na dziedziniec, i czterech, które na ogród wychodziły, długość jego wynosiła najmniej 60, szerokość zaś 40 stóp. Przy każdej ścianie umieszczono sześć żelaznych, tu i owdzie grubo wyzłacanych łóżek polowych, przy każdem z nich dwa krzesła i kompletnie urządzoną gotowalnię również żelazną, a przed każdą rozścielono pięknie wyprawioną i ozdobioną skórę wilczą jako wskazówkę, iż nie ma tu braku owej zwierzyny. Naprzeciw dwóch drzwi wchodowych znajdowały się kominy z czerwonego marmuru, w których pewnie ćwierć sążnia drzewa jasnem płomieniem się żarzyło. Koło owych kominów i dwóch ogromnych stołów dębowych na środku sali postawiono wiele wygodnych i miękko wyścielonych fotelów najrozmaitszego rodzaju i wielkości. Na tych stołach znajdowano fajki, puszki z tytuniem, cygara i flaszki z różnorodnymi likierami. Ściany ozdobione były rogami i głowami jeleniemi i sarniemi, a obok nich głowy dzicze i wilcze wraz z figurami na postumentach, mającemi ścisły związek z myśliwstwem. Światło wpadające przez okna przyćmiewane było ciężkiemi, jedwabnemi, zielonemi firankami, a cień ów nadawał ogromnej, olejną zieloną farbą pomalowanej sali jakiś powab nader ujmujący. Po skończonej toalecie rozłożyliśmy się na fotelach przy kominach, zapalili cygara, i wpatrywali się w milczeniu, ale z radośnem zadowoleniem w płomień. Szybkie kroki zwiastowały nowo przybyłych gości. Młody K. wrócił w towarzystwie dwóch przyjaciół. Powitanie było serdeczne i wnet zawiązała się szczera i swobodna pogadanka. Na razie wiedziono ją przez wzgląd na nas w języku niemieckim, gdy wszakże owi panowie spostrzegli, żeśmy w francuczyźnie dosyć biegli, przeszli stanowczo do owego języka. Obiad zastawiono wyjątkowo dla oczekiwanych gości dopiero o godzinie siódmej, przedtem więc dano tylko przekąskę. Nasze grono pomnażało się coraz bardziej, i składało z kilku oficerów jazdy sąsiednich garnizonów, z niektórych okolicznych właścicieli dóbr, z jednego wysokiego urzędnika i pewnego bardzo wesołego kanonika z Strasburga. Honory domu robiła uderzającej piękności, młoda małżonka syna generała. Była wprawdzie paryżanką, ale pełną zachwytu dla życia wiejskiego i łowieckiego. Miłościwa troskliwość, z jaką zabiegała wszelkim potrzebom swego teścia, jakotež jej wdzięczna i godnością nacechowana uprzejmość, tworzyły obraz szlachetnego i wzorowego życia rodzinnego. Po obiedzie wymknęła się nadobna gospodyni, panowie skupili się, zadzwoniły kielichy, pozapalano fajki i cygara, i wnet swobodnie zabrzmiały opowieści myśliwskie, rozprawy polityczne, anegdoty i nowinki, i gwar ów trwał do 11tej, o której generał zapędził nas do łóżka, abyśmy w dniu łowów mieli wzrok niezamącony niewczasem, więc radośnie biegliśmy do koszar. Kanonika umieszczono w osobnej izbie, aby mógł bez przeszkody rozprawić się z swoim brewiarzem. Gdyśmy śród żwawej gawędki już ułożyli się w łóżkach, stali przy kominkach, lub kończyli nocną toaletę, weszli dwaj lokaje, i podali każdemu z nas szklankę mocnego ponczu „*comme bonnet de nuit*“. — Jako wcześniej przybyły mogłem wybierać, upatrzyłem więc sobie łóżko między posążkami bogini Dyany i św. Huberta, i tym sposobem chciałem sobie zjednać starych bogów i nowych świętych, a nawet śniło mi się wtedy o rozterkach między niemi, z których wszakże Dyana nie najlepiej wyszła, wcale jej się bowiem nie udało, jak ongi smutnej pamięci ponurego Akteona, ozdobić teraz chrześciańskiego świętego jeleniimi rogami.

Około godziny 6tej nazajutrz zabębniono w kurytarzach pobudkę, a następnie odezwał się duet na trąbkach, wzywający nas na łowy. Pojawili się służący, którzy pozapalali świece i zabrali rzeczy do oczyszczenia. Wnet wszczął się ruch na łóżkach. Wymieniano wzajemne „dzień dobry“, dowcipkowano, śmiano się, aż wreszcie zaroiła się sala ludźmi zajętymi przygotowaniem do polowania. W ogromnej izbie na dole zastawiono śniadanie. Szynka, jaja, ser, herbata, kawa, likiery, wyborna zupa kartoflana pociągały ku sobie. Kanonik w czarnej sutanie, znacznie krótszej jak zwykle, opasany skórzanym pasem, na którym wisiał krótki kordelas, naglił na rychłe zakończenie śniadania, aby i dla niego cośkolwiek pozostało, chciał bowiem na naszą intencyę mszę przedtem odczytać. Jakoż odezwał się z obszernej kaplicy, przybudowanej w rogu zamku i poświęconej św. Hubertowi, dzwonek wzywający na mszę, musieliśmy więc chętnie lub niechętnie iść do kościoła. Przednie ławki zajęli myśliwi, których dziś już było przeszło 30, w rozmaitych strojach, w tyle cisnęli się strażnicy leśni, leśniczowie i nagónka. Był to malowniczy obraz oświecony półcieniem. Nasz kanonik przykrywszy kordelas szatą kościelną pojawił się przed ołtarzem. Taka msza zaiste budująca. Po błogosławieństwie kapłańskiem ruszył cały pochód myśliwski do lasu. Generał jechał na silnym mierzynie, ponieważ jego 68 letnie kości nie zdołały wspinać się pod góry, my zaś postępowaliśmy pieszo. Cztery pyszne psy z rasy d o g g ó w, z obciętemi uszami, opatrzone na karkach kolcowemi obróżami, wiodła nagonka, niecierpliwie miotając się i wyjąc szarpały one smycze. Zapytałem generała, przy którym szedłem, czy też będą owe silne zwierzęta w kniei spuszczone, na co odpowiedział mi przecząco dodając, iż psy te używane bywają tylko do ścigania i duszenia postrzelonych wilków, w miocie zaś nigdy nie bywają spuszczane. Przybywszy do podnóża stromej góry, której najwyższy szczyt *Mont rouge*, sklepiony z piaskowca, wznosi się na 1000 metrów ponad powierzchnię morza, postępowaliśmy po wyjeżdżonej drodze leśnej ku dosyć stromej górze. Drzewostan złożony z buczyny, dębiny i młodej sośniny nie przedstawiał nic nadzwyczajnego, jak w ogóle wszystko w oczy uderzało, iż Francja co do uprawy lasu o wiele jeszcze nie dorównuje Niemcom. Rozlegała się gęsta mgła. Ogołocone gałęzie drzew i krzewów ozdobione były tysiąca-

mi kropel wodnych, które zimny wiatr jesienny z nich strącał. Słońce wznosiło się niedostrzeżoną prawie tarczą, obiecywało wszakże swój tryumf, bo przygniatało silnie mgły. Po całogodzinnym, wspólnym pochodzie opuściła nas nagónka w celu zajęcia wskazanego jej stanowiska, my zaś pięliśmy się jeszcze pod górę, poczem zwróciliśmy się na prawo i przechodzili milcząc przez mały grzbiet góry, pokryty średnią dębiną. Tu postawiono na skrzydle pierwszego myśliwego. Mieliśmy obstawić północną i wschodnią stronę kniei, a nagónka miała pędzić z wiatrem południowo-zachodnim wzdłuż stoków gór od południa i zachodu. Ci z myśliwych, którzy mieli stać po stronie północnej, nie byli zmuszeni walczyć z trudnościami, ale do wschodniego łuku zgłaszano się na ochotnika. Wprawdzie ścieżynka wskazywała linję stanowisk dla myśliwych, była ona jednakże tak stromą i najeżoną tylu odłamami skalnymi, rozpadlinami i wyrwami, że chyba młode nogi takim trudom podołać mogły. Przytem wcale nie zachęcającem było polecenie wracania tą samą drogą po skończonym miocie. Było wszakże rzeczą stwierdzoną, że w tej stronie góry był główny przesmyk wilków. Młody K. mój przyjaciel B. i ja wystąpiliśmy pierwsi na ochotnika. Za naszym przykładem poszli niektórzy młodsi oficerowie jakoteż kilku myśliwych chłopów, tak więc wkrótce zebrała się dostateczna liczba strzelców. W ciągu mego 30-letniego zawodu łowieckiego nie jedną przebywałem drogę z narażeniem karku tak w Alpach austrjackich jak w sławnych górach Montenegro, nie przypominam sobie jednak, iżbym musiał podobne, jak teraz, łamane sztuki wyprawiać. To trzeba było z urwiska się zsuwać, przyczem krzaki tylko na prawo lub na lewo dawały dla ręki oparcie i powstrzymywały ciało od upadku; to musieliśmy na rękach i nogach posuwać się po śliskich piaskowcach, aż wreszcie każdy z nas dotarł do wyznaczonego mu stanowiska. Owe przeciwieństwo zaledwo opuszczonego komfortu życia z walką z imponująco-dziką pzzyrodą, stanowi prawdziwą zaprawę rozkoszy życia łowieckiego. Sposób urządzenia nagónki w Wogezach przy polowaniu na wilki był następny: Gdy gońców w równych odstępach rozstawiono na brzegu mającego się zająć miotu, postępują oni na dany trąbką sygnał bez wrzawy dziesięć kroków, następnie stają, wznoszą z całej siły nader wrzaskliwy okrzyk wraz z wrzawą klekotek, poczem znowu idą dziesięć kroków w milczeniu i tak dalej. Wilki słysząc ową piekielną wrzawę z spokojnemi przerwami, z obu skrzydeł zbliżającą się do ich legowiska, słupieją, przerażają się i uciekają w stronę, gdzie wprawdzie cisza rolega się grobowa, ale też myśliwi są rozstawieni. Tak też stało się i dzisiaj. Już dało się słyszeć głośne „hallo!“ gońców wraz z wrzawą klekotek, już ono napędziło o kilka kroków od mego stanowiska wymykającego się lisa, a ja ani zważałem na owego rabusia *minorum gentium*; gdy nagle spostrzegłem w suchych, szeleszczących krzewach sadzące większe zwierzę, wychodzące wprost na mnie. Psa, jak wiedziałem, żadnego w miocie nie spuszczono, więc to zapewne wilczysko pędzi ku mnie. Gąszcz tworzył ścianę nieprzenikliwą okiem, ścieżka zaś była szeroką na cztery metry, zmierzyłem się więc na niej, i oczekiwałem z bijącem sercem pojawienia się zwierza. Wzruszenie to nie wywołała trwoga, albowiem nie jest mi ona właściwą zwłaszcza, gdy mam w ręku dobrze wypróbowaną strzelbę, był to raczej skutek niecierpliwego oczekiwania. Już trzeszczą krzewy na dziesięć kroków przedemną, i wypada potężny, stary wilk ale tylko połową korpusu. W jednej chwili wymierzyłem w siwą czaszkę bestji, już pochyla się palec do pociągnięcia cyngla, jeszcze tylko sekunda — ale w tem spostrzega mnie także wilk, szybko jak połysk myśli zwraca się tak, iż możliwym był dla mnie strzał tylko w zad jego. Gdy się dym rozsunął, wilk znikł, i słyszę go w dali pędzącego wśród krzewów. Prawie równocześnie, ale z szczęśliwszym skutkiem zwalił z dymem mój sąsiad i przyjaciel B. niedorosłego, może ośmiomiesięcznego wilka. Wtem pada na górze sześć strzałów, jeden po drugim, a wzruszenie nasze dosięga szczytu. Drżącą ręką nabijamy strzelby, ciało drży objęte chucią myśliwską, oko pogrąża się w gąszczu, ale niestety nie jawi się żadna zwierzyna. Gońce już doszli do mego stanowiska to milcząc, to wrzeszcząc i klekocząc, aż wreszcie trąbka zwiastuje zakończenie miotu. Teraz mam chwilę swobodną do zbadania mego strzału. Na suchym liściu widzę grube, gęste krople farby świadczące, iż wilk dostał cały nabój, który jakkolwiek w zadzie, musiał być śmiertelnym z tak bliskiej odległości. Oznajmiam o tem młodemu baronowi, który właśnie ku mnie się zbliżył, dajemy polecenie naszemu przyjacielowi B., który swoją zdobycz z tryumfem ogląda, i wkłada ją na grzbiet chłopu, aby o tem dał znać myśliwym, i przysłał nam leśnika z psami, naturalnie w razie, jeżeli tam w górze nie zabito postrzelonego, starego wilka, lub jeżeli tenże tamtedy nie przemknął. Jestto już naturą tego zwierzęcia, iż postrzelone chroni się w zwartym, niedostępnym gąszczu, i pozwala przejść nagónce koło siebie. Spodziewaliśmy się tego i w tym wypadku zwłaszcza, że w owych górach gąszczów takich bez miary. Baron K. przyrzekł mi pomagać w tropieniu, znał on bowiem dokładnie miejsowość, ja zaś mógłbym się łatwo w tym dzikim ostępie zabłąkać. Siedliśmy przeto na skale, zapalili cygara i oczekiwali skutku danego polecenia panu B. Po upływie może 20 minut, które dla mojej gorączki były całą wiecznością, pojawił się leśnik z najsilniejszymi psami złai. Przyniół on nam zarazem wiadomość, że na północnej stronie zabito starą wiczycę, trzy inne zaś wilki chybiono, i że *„le vieux papa,“* jak się wyraził, nigdzie się nie pojawił. Wysłaliśmy go z nakazem, aby na odgłos trąbki przysłał nam dwóch gońców, poczem ujął baron K. w rękę smycz, udaliśmy się na miejsce postrzału, i rozpoczęliśmy ściganie zbiega. Myśl naszą zatrzymania dogga przy sobie i użycia go jedynie jako wyżła do tropienia, musieliśmy wnet porzucić, w gęstym bowiem drzewostanie, a przytem na tak niedostępnym terenie, musieliby myśliwi i pies wkrótce z sobą się pomotać. Pies puszczony, który natychmiast z głębokim pomrukiem i najeżonym włosem trop wilka pochwycił, orientował się wietrząc w rozmaite strony, i znikł w gąszczu. Nam nie pozostawało nic innego, jak postępować w kierunku farby, którą znachodziliśmy wszędzie w wielkiej obfitości, a pies pewnie poszedł tymże tropem Już dość długo szliśmy drąc się mozolnie przez gąszcz, gdy na lewo przed nami, w niezbyt wielkiej odległości, naprzód posłyszeliśmy kilka gniewnych naszczekiwań psa, a wnet potem mruk, wycie i jęki, zwiastujące zawsze nieomylnie walkę. Któż tam pytał o to, czy kolce rwały ręce i suknie, czy sprężyste gałązki gąszczu biły do krwi po oczach, a krople wodne przenikały ciało do wnętrza. W szalonych susach sadziliśmy przez przeszkody i spieszyli do miejsca, zkąd odzywały się głosy zażartej walki. Przybyłem dosyć wcześnie na miejsce, aby przypatrzeć się końcowi walki, jak pies wpił się zębami w kark wilka, i udusił go. Działo się to w wyrwie gęsto zarośniętej, zeszedłem na dół w celu

przypatrzenia się zdobyczy, warczenie jednak psa nie pozwoliło mi bliżej do niej przystąpić, oczy jego błyszczały jeszcze piekielną złością, i tak straszliwe pokazał mi zęby, żem wcale nie miał ochoty poznać się z nimi. Zniewolony byłem zatem wyczekiwać przybycia mego towarzysza, który też wkrótce nie spiesząc się zszedł ku mnie z góry. Jakkolwiek pies znał swego pana dobrze, musiał tenże użyć w obec niego całej swej powagi, aby go od wilka usunąć. Dopiero gdy go do drzewa uwiązał, mógł do wilka się przybliżyć i oglądnąć. Był to przepyszny egzemplarz. Rozmiary jego wynosiły od nosa do nasady ogona nieco mniej jak dwa metry długości, a 80 cm. wysokości. Cały mój nabój śrótowy Nr 1. utkwił w tyle grzbietu i łopatkach, a tylna łapa była zupełnie zgruchotana. Tylko tak ciężkie rany i kolczasta obróża dały psu zwycięstwo. Zakrwawiona paszcza wilka świadczyła, iż kilkakrotnie musiał on chwytać psa za kark, mimo tego jednak miał ów potężny pies prócz kilku mniejszych, dwie głębokie krwawiące się rany, jedną na piersi, drugą na grzbiecie. Odezwał się umówiony sygnał trąbki, a po chwili pojawiło się przy nas dwóch naganiaczów, którzy zabrali wilka zawiesiwszy go na drągu. W jaki sposób dostałem się na stromą górę, sam nie wiem, radość obdarzyła mnie skrzydłami, a dysząc i potem oblany wstąpiłem dumnym krokiem w grono myśliwych, które się zebrało około wilczycy i dwojga jej młodych. Głos trąbki obwieścił już nasz tryumf, teraz musiałem opowiadać szczegóły wypadku. Tymczasem zjawił się też młody K. z pokaleczonym psem, a znacznie później gończy z wilkiem. Nawet generał, który od lat trzydziestu był luwetierem, nie wiele przywołał do swej pamięci tak potężnych zwierząt, jakim był ów wilk. Dziś jeszcze po latach 26, gdy te słowa spisuję, oko moje spoczywa z niemałą radością i z błogiem wspomnieniem na skórze wilczej, którą podówczas otrzymałem jako pamiątkę mego tryumfu, a która niestety dziś już starta i zniszczona pokrywa podłogę mego pokoju.

(Dokończenie nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Podkamień, 10 Lipca 1882.

Ten, który stworzył przysłowie: „głupia jak gęś“, nie był z pewnością głębokim myślicielem. Takie jest moje przekonanie. Chyba mówił o gęsiach domowych, a dzikich nigdy nie widział. W takim razie zwracam mu cześć, i nie badam jego spostrzeżeń nad domowemi gęsiami, gdyż jako myśliwemu ich obyczaje są mi całkiem obce, i wszelkie w tym względzie spostrzeżenia jak najchętniej zostawiam klucznicy. Gdybyśmy jednak tylko o gęsi domowej mówili, to zawsze to przysłowie musi tracić na wartości w obec apoteozy, którą dzieje świata otoczyły owe stado gęsi domowych, które zbawiły rzymski Kapitol. Pod sekretem jednak wyznać muszę, że tym jedynym gęsiom na rzymskim Kapitolu przyznałbym dyplom głupstwa, ale żadnym gęsiom innym, a zwłaszcza dzikim. Te domowe gęsi Kapitolu błyszczą w dziejowej aureoli za to, że swym hałasem ocaliły Rzym, który później stał się tyranem świata, wszystkiem w około siebie zawładnął i ugiął pod swe stopy. Wszystkie klęski, które później na ród ludzki spadły, przypisać należy gęsiom Kapitolu. Więc o tych tylko gęsiach mógłbym powiedzieć, że były w istocie głupie, bo poco im było ratować tyrana? Ale zapominać nie trzeba, że to były gęsi domowe. Dzikie nie byłyby pewnie tej niedorzeczności zrobiły. One nigdy głupstw nie robią, dla tego też żadna dotąd gęś dzika nie była u nas obraną do żadnego urzędu autonomicznego, ani do sejmu, ani do Rady Państwa, żadna gęś u nas dotąd jeszcze ministerjalnej teki nie posiadała.

Jako myśliwy powtarzam raz jeszcze, że mówię tylko o gęsiach dzikich, bo domowa, nawet: „anser elegans“ wcale mnie już nie obchodzi. Staję tu w obronie tego gęsiego rodu, na który złość ludzka piętno głupoty rzucić pragnęła. Nauczony doświadczeniem gotów jestem kruszyć kopję w tej sprawie, bo mojem jest przekonaniem, iż gęś dzika do najzmyślniejszych ptaków należy. Od lat wielu, będąc w posiadaniu stawu, na którym dzikie gęsi, nie wiem z jakiego powodu, z upodobaniem się gnieżdżą, już blisko przez ćwierć wieku robię spostrzeżenia nad ich obyczajami. Nie wiem jaki może być powód, że te ptaki przyciągając z wiosną, na tym stawie zatrzymują się z nadzwyczajnem upodobaniem. Może je nęci znaczny obszar szuwarów, i to być może, ale ja sądzę, iż główną przyczyną jest spokój, którego one przedewszystkiem szukają. Wiosenna para gęsi, która na tym stawie do wylęgu zasiędzie, jest bezpieczną, jak pod skrzydłem Archanioła; żaden strzał jej wprawdzie niepłoszy, ale ona o tem nie wie, że nad nią czuwa ciągle istny Petersburgski IIIci departament policji w postaci dwóch brzegowych, którzy od wiosny śledzą kroki tej czułej pary, i jej możliwego potomstwa. Z początkiem Lipca dopiero podloty zaczynają się do lotu zrywać, i pod kierownictwem matki odbywają pierwsze lotne spacery ponad szuwarami, a czasem, mianowicie dodnia, puszczają się za żerem i na okoliczne łany. Nie mają jednak jeszcze odwagi opuścić tego stawu, gdzie stała ich niemowlęca kolebka. Moja tajna policja oznajmia mnie o tych ich ruchach jak najdokładniej. Jest to pora najstosowniejsza do polowania na nie, ale o tem zapominać nie trzeba, że to polowanie wiele przedstawia trudności, bo walczyć trzeba ciągle ze sprytem starych gęsi i z wrodzonym instynktem młodego pokolenia. Jest to oryginalne i nader zajmujące: Na wypatrzone już poprzednio stada podlotów wypływa się zazwyczaj we dwie łodzie, i tak myśliwi wzajemnie naganiają stadko na siebie. Jeśli gęsi już dość są lotne i poderwą się po strzałach, wtedy rozbiją się zwyczajnie na wzór kuropatw, zapadają w szuwary, i myśliwi łódkami je potem z łatwością podjeżdżają i strzelają porywające się pojedyńczo. Ten manewr wszelako zazwyczaj tylko przy pierwszem udaje się polowaniu. Raz przepłoszone w ten sposób gęsi stają się czujne i sprytne nad wszelkie pojęcie, i nikt wtedy nieuwierzy w prawdę przysłowia o głupocie gęsi. Troskliwa matka wyłoży z pewnością, po pierwszej odbytej katastrofie, swojemu młodemu pokoleniu, zaraz już pierwszej nocy, bardzo wyczerpujący kurs strategji, której się mają trzymać na przyszłość. Ona to im wytłómaczy, że podrywanie

się przed łodzią, na której czyha myśliwy, jest taktyką najzgubniejszą, że cicha ucieczka w najgęściejsze szuwary jest środkiem najpewniejszym, i że gęganie z trwogi, gdy się słyszy strzały w dali, jest kardynalnym błędem strategicznym, albowiem to gęganie naprowadza nieprzyjaciela w ślady usuwającej się armji.

„Taką dawszy przestrogę
„Błogosławi na drogę.“

Stara gęś, jak stary Budrys, wyprawia swą dziatwę na żer, ale zawsze niedaleko gęstych zarośli i szuwarów, przez które żadna łódź przepłynąć nie zdoła. Sama zaś kołysząc się na falach, na czystem zwierciedle stawu, ustawicznie czujną straż odbywa. Niech się tylko okaże w dali owa dobrze jej znana łódka z myśliwym, zaraz ta wzorowa matka gęganiem zawoła na swą dziatwę: „Baczność! Nieprzyjaciel się zbliża! Trzymać język w dzióbie!“ (Gęsi nie mogą kazać, jak u nas trzymać język za zębami, bo gęsi zębów nie mają). Jaka to szkoda, że tego do nas nieraz zastosować nie można. Jakby się to przydało!) Wtedy matka, ubezpieczywszy los swoich niemowląt, z gwałtownym krzykiem zrywa się z wody, ażeby własną zabezpieczyć skórę, parę razy okrąży po nad rodziną, ciągle powtarzając jeszcze udzieloną jej poprzednio przestrogę, potem wzbija się w górę i odlatuje ze stawu, rzekłbyś że na zawsze, bo tak szybki jej lot, i tak szybko przed okiem niknie aż gdzieś w chmurach, wróci ona jednak, ale w nocy dopiero, gdy myśliwy po powrocie z wyprawy spokojnie czytać będzie dzieje procesu Olgi Hrabar, lub gdy Morfeusz już garść maku wysypie na jego powieki. Dobra matka wtedy przeliczy pozostałe członki swej rodziny, nie będzie im szczędzić nagany, będzie dawać dalsze napomnienia, a o świcie już znowu na czystem zwierciedle stawu stać będzie na straży i czuwać nad losem swoich dziatek.

Tego roku przybył z wiosną na mój staw niezwykle silny kontyngent dzikich gęsi. Wylęgło się tu 12 par obdarzonych dość licznem potomstwem. Dwie odbyłem dotąd wyprawy, które nie były uwieńczone zbyt pomyślnym skutkiem, uwzględniając znaczną ilość gęsi wylęgłych na tym stawie. Dziesięć gęsi tylko udało mi się dotąd dostać, ale powróciłem wzbogacony w rozmaite ciekawe spostrzeżenia. I tak przyjechawszy pierwszy raz na groblę, i wysłuchawszy raportów brzegowych (owej mojej policji), którzy od dodnia kilka stad gęsi śledzili i utrzymywali, że młode podloty już dobrze latają, spostrzegłem sam dwa stada, które dla ćwiczenia unosić się poczęły nad szuwarami, i zaraz potem w nie zapadły. Dwie łódki skierowaliśmy wnet na to miejsce, i mimo największych wysileń i starań dwóch bardzo biegłych wioślarzy, nie udało nam się już te dwa stada przymusić do lotu. Słyszeliśmy zdala głos napominających matek, które swej dziatwie zbawienne głosiły przestrogi, zaklinając je wyraźnie, by się nie zrywały choćby łódź myśliwska zbliżyła się jak najbardziej. Przed nami słyszeliśmy tylko szum skrzydeł uciekających podlotów, które szczęśliwie dostały się w gęste szuwary, dokąd łódź żadna nie dopłynie, a po chwili na znaczną odległość zerwały się obie matki rodu, powtarzając gęganiem swoje dawne przestrogi, i urągając nam z góry, z wysokości obłoków, jak zwykle odleciały ze stawu. Inne stada z mniejszem lub większem powodzeniem tę samą przeprowadziły strategję. Do jakiego stopnia karność w tych młodocianych gęsiach zachowywaną bywa, najlepiej zaświadczyć może ta okoliczność, że u mnie na kilkuset morgowym stawie, zdarzyło mi się nieraz w kilka łodzi, przez trzy lub cztery godzin jeździć po takim pierwszym odbytym ataku, i po odlocie starych, spłoszonych gęsi, a jednej żyjącej istoty należącej do tego rodu już nie można było spotkać. Wiedziałem jednak bardzo dobrze, że kilkadziesiąt podlotów gęsich gdzieś się ukrywa w szuwarach. Przez dobrą matkę wydane im hasło od zguby jednak młodzież ustrzegło. Oby tak młodzież nasza chciała iść za tym przykładem i zapomniała o przysłowiu że: „gęsi są głupie!“

Po długiem bezskutecznem jeżdżeniu po stawie możnaby było uwierzyć, iż ród gęsi wymarł na nim na zawsze. Z dawna u nas mówiono, iż na ponowie lisa trzeba nie zabić, ale „ukraść“ z kniei, tak bowiem lis jest sprytnym i czujnym. To samo powiedzieć można o dzikiej gęsi. Dla tego to ją może niemcy zaliczyli do rzędu: „Hochwild“ i dla tego to polowanie na ten rodzaj ptactwa ma urok niezwykły. Ja śmiałbym to polowanie stawiać na równi z polowaniem na głuszce i dropie (także przez Niemców zwane: „Hochwild“) i dla tego ma ono dla mnie urok nadzwyczajny.

W zeszłym roku udało mi się 22 sztuk dzikich gęsi zabić na moim stawie, a rok bieżący jeszcze w świetniejszy pozwala mi wierzyć rezultat. Nieomieszkam podzielić się tem z czytelnikami „Łowca.“

Dla tego to, na teraz, w tej naszej ogórkowej porze myśliwskiej o tem jedynem prawie na teraz dozwolonem polowaniu śmiem wspomnieć szanownej Redakcji. Wyznać muszę, że to polowanie ma dla mnie urok niezwykły, jak w ogóle polowanie na zwierzynę, której zdobycie z wielkiemi jest połączone trudnościami, a polując z zamiłowaniem od tylu lat na tego rodzaju zwierzynę, ośmielam się raz jeszcze stanowczo kłam zadać temu, który stworzył przysłowie: „głupia gęś!“

Leopold hr. Starzeński.

KRONIKA.

Z Wołynia nad Słuczą w pow. Starokonstantynowskim, w Popowcach 23. Lipca.

W gościnnym domu zapalonego myśliwego p. E. w Popowcach spotkałem się nieraz z „Łowcem“. Jako myśliwy dzielę się z jego czytelnikami niektórymi szczegółami z wycieczek myśliwskich, w naszych wołyńskich stronach przedsiębranych.

W obecnym czasie polowania na ptactwo błotne, stosownem będzie określenie stanu tej zwierzyny u nas w tym roku. Polujemy przeważnie na dubelty, których niemało na błotach nadsłuczańskich. Całe grono myśliwych wyrusza niemal codziennie od pierwszych dni Sierpnia z domu p. E. na rozległe te błota. Mamy tu dwóch sławnych strzelców pp. A. i Z., sąsiadów pana E. Wytrwali i dzielni ci myśliwi cudów dokazują z bronią systemu Lankastra, fabryki Bekkera. Lubo dubelty w tej porze niedosiadują i daleko przed wyżłem się porywają, to jednak strzały tych panów ich dosięgają, a przy złych warunkach polowania i częstych odpoczynkach pada dziennie 30 dubeltów. Spolowaliśmy kilka już rozległych błót nad Słuczą położonych, i możemy

uszsłnie twierdzić, że w tym roku wielka liczba bekasów je nawidziła. Gdy w ubiegłym roku o tej porze można tam było zaledwie jednego dubelta i kilka kszyków w ciągu dnia upolować, dziś pada w kilka godzin 30 dubeltów, nielicząc kszyków, do których prawie się nie strzela. Położenie błót jest wyborne śród gęstych krzaków łozowych, a ponieważ pora jest mokra, więc zwierzyna dużo na tych błotach znajduje żeru, a my polujemy zawzięcie i z najlepszym rezultatem mimo tzzydziestostopniowych upałów. Towarzyszą nam też damy, które nie bacząc na przykre warunki polowania błotnego, z strzelbami na ramieniu, w cienkich bucikach, przebiegają wraz z nami rozległe błota. Polują te panie z godną podziwienia wytrwałością, wstają o 3ej rano, o 12ej w nocy udają się na spoczynek, i żadna z nich dotąd nie doznaje dolegliwości nieżytowych lub reumatycznych. Śmiało więc można twierdzić, że nasze niewiasty stworzone nie tylko do igiełki, lecz też do zapasów z bronią w ręku. Możnaż wątpić, iż te Spartanki wołyńskie zahartują swe dzieci do męskiej siły i wytrwałości, że będziemy mieli większą liczbę ludzi silnych ciałem i duchem, którzy nietylko na myśliwskiej arenie, ale też w trudach życia z energią działać będą dla dobra własnego i ogółu.

Kończąc moją korespondencję tym krótkim opisem naszego polowania błotnego, stosunków myśliwskich i dzielności naszych niewiast, mam nadzieję, iż wkrótce będę mógł przesłać sz Redakcji więcej szczegółów o naszem myśliwstwie, tem bardziej, iż coraz bogatszy u nas zwierzostan dostarczy mi obfitego materjału.

Marjan Żukowski.

Zwracamy uwagę czytelników naszych na broszurę, wydaną jako odbitka z „Reformy“ w Krakowie pod tytułem: *Krainy rybne Wisły napisał Dr M. Nowicki. Kraków 1882.* Nowy to i wielce cenny przyczynek do rozjaśnienia sprawy rybactwa krajowego, pióra niezmordowanego w szlachetnych usiłowaniach swoich Prezesa Towarzystwa rybackiego w Krakowie.

Liczne dochodzą nas wieści o nader pomyślnym skutku pigułek K. Hostońskiego, używanych w chorobach psów, a szczególnie w nosaciznie. Upraszamy o szczegółowe objaśnienia przebiegu chorób jakoteż symptomatów uzdrowienia w skutek używania tych pigułek. Takie doniesienia ustalą wartość tego leku, i zachęcą posiadaczy psów do użycia w razie potrzeby, a pana Hostońskiego do wyrabiania go w większej jak dotąd ilości.

Z nad Sanu. Lipiec.

W niedzielę wyszedłem ze strzelbą na polowanie. Co! co! zawołacie, a kalendarz myśliwski! — Ależ na wrony! Pomimo 72 lat zapaliłem się uczuciem zemsty ku tym szkodnicom. Do tej pory od wczesnej wiosny zastrzeliłem wron 23, jastrzębi 3 i orła mniejszego gatunku. Otóż przeszłej niedzieli w celu tego pożytecznego polowania poszedłem ku pobliskiemu potokowi, porośniętemu gęstemi i dosyć sporemi olchami. Miejsce to jest prawdziwem wroniem matecznikiem, na każdej niemal olsze mieści się gniazdo ich. Podsuwam się pod jedno z tych gniazd i palę w nie kaczym śrótem. Taki sposób ubijania starej wrony, psucia gniazda i tłuczenia jaj jednym strzałem doprowadziłem do wysokiej doskonałości. Palnąłem tedy w spód gniazda, a tu sypie się naprzód chrust, z którego gniazdo zlepione, następnie pada prawie u stóp moich — wrona? Nie — kuna, i to stary samiec. Co ona tam robiła, czy spała wlazłszy w wronie gniazdo, czy też wypijała jaja, które pasjami lubi. W resztkach spadłego gniazda znalazłem wprawdzie skorupy z potłuczonych jaj, lecz nie wiem czy się potłukły przy spadaniu, czy też kuna je wypiła. Bardzo miłe *qui pro quo!*

L.

Pan Nowotny, rusznikarz w Pradze uprasza nas o rozgłoszenie następującego listu: Po dokładnem wypróbowaniu strzelby mi przysłanej (systemu Lankaster), mogę w krótkich słowach i sprawiedliwie wartość jej określić, jestto niezawodnie najznakomitsza broń, o jakiej marzyć można, i to pod każdym względem. Prócz regularnego, nadzwyczajnie gęstego kręgu strzałowego, biją śróty niesłychanie ostro tak, iż ja wyjątkowo tylko, czasem do lewej lufy używałem śrótu Nr. 4, zwykle zaś strzelałem z prawki, nawet do lisów i kozłów, Nem 8ym. Miło mi przesłać Panu tych kilka słów rzetelnego uznania. . . .

Ostrów 23 Lipca.

Hr. Baworowski.

Gniła na Romanowskiej górze.

Jadąc w stronę Świrza wiozłem z sobą, jak zwykle, dubeltówkę i nieodstępnego towarzysza w każdej podróży wyżła Bekasa. Od szczytu góry Romanowskiej, odnogi Karpat, rozpoczyna się rozległa górska dolina porośnięta lasami, w jednej zaś stronie z znacznym kompleksem łąk, należących do okolicznych wsi. Łąki te bywają zwykle z powodu swego wysokiego położenia suche, ale mają kilka moczarków, które znam dobrze, a na których prócz kaczek nigdy innej skrzydlatej zwierzyny nie widziałem. Jadąc tym razem od Lwowa, z okolicy o kilkaset stóp niżej położonej, obecnie z powodu nieustannej słoty zalanej, przypuszczałem, że ptactwo błotne wyemigruje z niej na wyższe miejsca, i dla tego postanowiłem mimochodem zapolować na łąkach, należących do Gniły. Jakoż w przeciągu dwóch godzin ubiłem 8 dubeltów, z których 3 poderwały się z płaskich brzegów strumyka, reszta przesiadywała na kępkach zwykle moczarowatych, obecnie po obfitych deszczach prawie całkiem wodą zalanych, siedziały więc na wierzchu kęp, z wody wystających. Myśliwych zadziwia, iż dubelty w tym roku przesiadują na miejscach bardziej moczarowatych, wodnistych — nic w tem dziwnego. Rok przeszły był wcale suchy, tegoroczne lato do połowy Lipca prawie skwarne, więc wyżej położone lub z natury suche łąki wyschły, owad, żer błotnego ptactwa wyginął. Takich miejsc suchych unika starannie błotne ptactwo z powodu braku żeru, a przebywa ono tylko tam, gdzie żeruje, gdy przeciwnie ptactwo wodne w jednem miejscu żeruje, w innym szuka noclegu. Na wszystkich zwykle suchych łąkach, choćby one najbardziej deszczami były zwilżone, odrazu nie wytworzą się owady i robactwo, które przedtem albo zupełnie już wyginęły, albo głęboko w ziemię się zaryły tak, iż ledwie po dłuższym czasie na powierzchnię się wydobędą. Nie dziw więc, że ptactwo błotne szuka dziś nawet żeru tam, gdzie go zawsze znajdowało, choćby te miejsca były znacznie wodą zalane, bo to są miejsca wprawdzie niewygodne, ale zato niegłodne.

M.

W Wrześniu strzela się do słonek, jeleni, rogaczy, lisów, jarząbków, cietrzewi i głuszców, bażantów i kuropatw, przepiórek i dzikich gołębi, dropi i pardw, ptactwa błotnego i wodnego, a od połowy tego miesiąca do zajęcy.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.